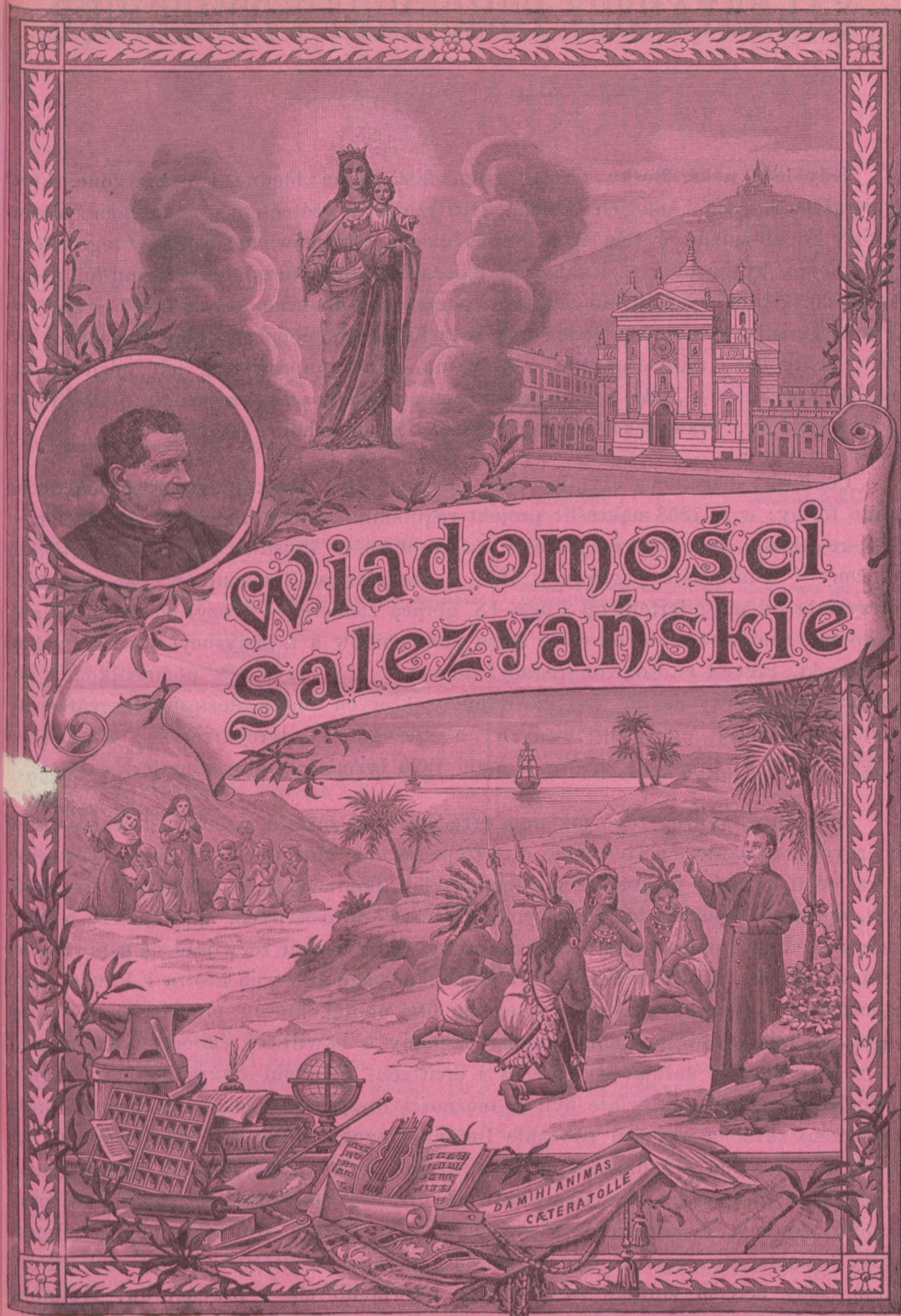
N. 3. Rocznik VI. Marzec 1902.



Turyn — Drukarnia Salezyańska — Turyn.

SALEZYAŃSCY POMOCNICY I POMOCNICE.

Gdy 1841 r. ks. Bosko począł gromadzić dzieci biedne i opuszczone, które zbierał po ulicach i placach Turynu, Opatrzność w krótce mu posłała pomocników, którzy wzięli udział w tem szlachetnem dziele. Wielu świeckich księży tego miasta przybiegło, by go otoczyć i zająć się dziećmi. Jedni nauczali katechizmu lub uczyli w klasach; inni wyszukiwali majstrów chrześcijan dla tych, którzy byli bez miejsca. Ponieważ cały ten drobny ludek był w łachmanach, pobożne damy turyńskie, tak ze szlachty jak i mieszczaństwa, wzięły na siebie naprawianie ich odzieży, lub robiły nawet nową. Taki był początek tego pobożnego stowarzyszenia pomocników i pomocnic św. Franciszka Salezego; liczba ich przechodzi 300.000.

Ponieważ instytucya czyniła wiele dobrego, ks. Bosko zapragnął nadać jej stałe formy; w r. 1858 nakreślił projekt regulaminu, który ulepszył 1864 i 1868 r. — Ten regulamin przedstawiony Jego Świątobliwości Piusowi IX został nakoniec ułożony i ostatecznie przyjęty w 1874 r. Instytucya Pomocników Salezyańskich otrzymała od nieśmiertelnego Piusa IX gorącą zachętę. — Życzył sobie nawet aby Jego imię znajdowało się na czele spisu pomocników a z instytucyi utworzył zakon tercyarski. Polecił nadto Kongregacyi obrzędów aby przyznała pomocnikom i pomocniczkom salezyańskim wszelkie odpusty, których mogą dostąpić tercyarze zakonów najwięcej uprzywilijowanych, a szczególniej tercyarze św. Franciszka z Asyżu. Brewe Piusa IX z dnia 9 maja 1876 brzmiało jak następuje:

„Ponieważ według tego jak nam przedstawione zostało, pobożne stowarzyszenie wiernych zawiązało się stosownie do przepisów kanoniczynych pod nazwą Towarzystwa, czyli związku pomocników salezyańskich, ponieważ jego członkowie postanowili, oprócz wykonywania rozmaitych uczynków miłosiernych, mieć pieczę o młodzieży biednej i opuszczonej; aby rzeczone stowarzyszenie rozwijało się ustawicznie, ufni w miłosierdzie Wszechmocnego Boga i powagę świętych Piotra i Pawła, Jego Apostołów, nadajemy wszystkim wiernym płci obojej, którzy przystąpili lub przystąpią do tego Stowarzyszenia, odpust zupełny w chwili ich śmierci, pod warunkiem, aby istotnie żałując za grzechy i opatrzeni świętemi Sakramentami Pokuty i Eucharystyi, lub gdyby nie byli w możności otrzymania ich, aby przynajmniej ze szczerą skruchą wzywali pobożnie Imienia Jezus, jeśli będą w stanie ustami, lub jeżeli nie, w sercu przynajmniej i żeby przyjęli śmierć z rąk Boga w duchu pokuty i jako karę za grzechy. Nadajemy również w imię miłosierdzia Pańskiego inny odpust zupełny, i odpuszczenie grzechów tym samym stowarzyszonym, odpust, który będą mogli otrzymać raz na miesiąc, w dzień, w którym zechcą pod warunkiem, żeby sercem żałując za grzechy, spowiadali się i przyjęli św. Komunię



WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

Wychodzą w językach: *włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim i polskim*
Pomocnikom salezyańskim posyłają się **bezpłatnie.**— *Adres:* TURYN, Via Cottolengo 32, ITALIA.

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (MAT. XVIII, 5)

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX.)

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. LEON XIII.)

ROCZNIK VI. Nr. 3. Wychodzą co miesiąc. **MARZEC 1902.**

OREMUS PRO PONTIFICE NOSTRO LEONE XIII.

Dominus conservet eum et vivificet eum et beatum faciat eum in terris et non tradat eum in animam inimicorum eius.

MÓDLMY SIĘ ZA PAPIEŻA NASZEGO LEONA XIII.

Niech go Bóg zachowuje, wzmacnia go, niech go uczyni błogosławionym na ziemi i niech go nie podaje w moc nieprzyjaciół jego.

TREŚĆ:

Ksiądz Bosko o Papieżu.

„Ks. Bosko nie wypuszczał z myśli Papieża i strzegł jego słowa, jako źrenicy w oku: po każdym jego kroku, po każdem jego dziele, po każdem piśmie i słowie znać, że rwał się ku Rzymowi, ku Namiestnikowi Chrystusowemu. To też Pius IX obdarzył go swem zaufaniem, zawsze mu potakiwał, przyjmował go i słuchał po ojcowsku we Watykanie, a Leon XIII nie szczędził mu zachęty i błogosławieństw“. Jeżeli które, tedy napewno te słowa, wypowiedziane przez kardynała Alimondę nad grobem ks. Bosko, są dla nas, Przezacni Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice, drogie i pocieszne, bo one są podobno jedną z najpochlebniejszych pochwał, oddanych pamięci naszego Ojca.

A jak ta pochwała była faktycznie uzasadniona i prawdziwa, o tem świadczą jego uczniowie, mówiąc, że on miał wrodzony popęd i miłość ku Papieżowi. Każde jego słówko, każde poruszenie, całe życie było, nacechowane czcią i afektem dla Ojca św. Stolica Apostolska jest w jego pojęciu nieśmiertelnym pomnikiem owej *rzymskości* (iż tak przełożę Tertuliana *romanitas*), z której, według sławnego apologisty, wypłynęło zbawienie całego świata; *romanitas omni salus.* Życiorysy Papieży trzech pierwszych wieków

które nam każdego dnia świątecznego gorącemi i powabnemi opowiadał słowami, a później drukiem ogłosił, *Historya Kościoła*, *Historya Włoch*, liczne dzieła apologiczne pisane wśród tysiącznych i najrozmaitszych zajęć, monumentalny kościół Najsł. Serca Jezusowego w Rzymie, który z woli Ojca św. wzniósł mimo mnogich przeszkód i boleści, pozostaną wiecznymi śladami jego miłości bez granic ku Namiestnikowi Jezusa Chrystusa.

I słuszne były jego zapatrywania, rozumne jego uczucia. Papież bowiem jest ojcem powszechnym chrześcijaństwa, arcydziełem rąk Chrystusowych, żywą istotą boskiej religii. Z niebiańskim uśmiechem, pełen dobroci, pełen łagodności i słodyczy, jest on światu, jakoby przytomnością nieba, temu światu, na którym nitek wiążących z niebem niestety już coraz mniej widać. Swoją niewzruszonością w zasadach katolicyzmu jest on uwidocznieniem tego, co wieczne i boskie w sprawach ludzkich. Zawsze pogodnie patrzy w niebo; wśród burz tylu i cierpień niezmiernych, nie ma chmur ani na chwilę na widnokręgu jego myśli, bo ma wzrok duszy utkwiony w tę wieczystą, zawsze jasną i pełną mocy prawdę, że bramy piekielne nie przezwyciężą. Ta niebiańska pogoda, z tej idei czerpana, rodzi w nim dziwną charakteru moc i stałość, z którą wypowiada: *Non possumus*. On, który wypowiedział dogmat nieomylności, swą osobą wciąż mówi: *Tu es Petrus*. Tu do tej skały chodźcie, wy, którzy chcecie budować — na niej tylko budując, wystawicie gmach niezaćmionej piękności: bo jak pięknem jest to niebo niezmienne nad waszemi głowami, tak jedyną tej piękności trwałą podstawą jest prawda boska; dlatego piękna, iż niewzruszona; dlatego niewzruszona, że boska.

Takie jest znaczenie Papieża. Czy godzi się tedy nam, synom ks. Bosko, być nieczynnymi i siedzieć z założonemi rękami, w czasie obchodów jubileuszu papieskiego Leona XIII? Stanowczo, że nie. Kiedy w roku 1887 cały świat się poruszył, by święcić jubileusz kapłański Leona XIII, ks. Bosko, lubo słaby i blizki śmierci, zajął z synami swoimi ważną postawę w uroczystym ruchu katolickim. Świadczy o tem cudna, artystyczna książka *Filozofia, Historya i Literatura w pojeciu Leona XIII*, która ofiarowana Papieżowi, jako hołd Zgromadzenia Salezyańskiego, i przez niego zaszczycona drogiemi pochwałami, wywalczyła sobie następnego roku na wystawie watykańskiej złoty medal.

A czemuż przemilczeć rzewną myśl, którą nasz czuły Ojciec, kilka miesięcy przed zgonem, zapisał własnoręcznie w ofiarowanym Leonowi XIII albumie? „W mojej starości na to się jeszcze zdobywam, by publicznie oświadczyć, że przyswajam sobie wszystkie uczucia wiary, poważania, czci, poddaństwa i niezachwianej miłości, które dla Papieża żywił św. Franciszek Salezy, i żądam, by te uczucia gościły wiecznie w sercu moich synów duchownych“.

A jeżeli chcemy wkroczyć w praktykę, wtedy miejmy na oku przykład naszego Ojca. Było to roku 1848. Pius IX uchodził, jako wygnaniec, do Gaety, a chłopcy Oratoryum św. Franciszka Salezego słali mu swoje świętopietrze, które Piusowi łzę wzruszenia z oczu wycisnęło. Wielki Papież wynurzył księdzu Bosko swą ojcowską dobroć listem, który tworzy jedną z najdroższych i najpiękniejszych kart w historyi naszego Zgromadzenia.

Weźmijmy sobie do serca przykład ks. Bosko i w tej okoliczności starajmy się, aby chłopcy i dziewczęta wszystkich naszych zakładów objawili swoje przywiązanie i miłość ku Ojcu św., cegiełką świetopietrza. Ofiara ta sprawi wielką przyjemność Papieżowi, a zarazem będzie rzeczą świętą i zbawienną, przeto że dać Ojcu św. tyle znaczy, co dać samemu Bogu. Katolik bowiem ma Papieża za Namiestnika Chrystusowego, za Ojca duchownego dusz, za Noego Nowego Przymierza, za wielkiego Sternika nawy Chrystusowej, za Pasterza Kościoła, za Klucznika niebios. Czemuż więc tłumić uczucia szczerej, pełnej wdzięczności?

Dzisiaj powtórzyć możemy, co ks. Bosko pisał 1856 r.: „Bieżą czasy nadzwyczaj burzliwe i groźne dla Wiery św.: wrogi katolicyzmu rozsypują wielkie pieniądze, wdają się w dalekie podróże, znoszą ciężkie trudy, celem zalania świata ulewą książek niemoralnych i antyreligijnych; a my dla zbawienia dusz nie podejmiemy się tych mozołów, których kosztem przewrotni je wiodą na wieczne zatracenie? Oby Bóg miłosierny wlać raczył do wszystkich serc gorące pragnienie zbawienia dusz, i oby nas wspierał swą łaską, abyśmy wytrwali w wierze Piotrowej, która jest wiarą Chrystusa, jedyną, prostą i pewną drogą do nieba!“



Miłość Chrystusowa  przyciska nas.

(Dokończenie).

Wreszcie przypada wziąć pod rozwagę te akty cielesnego miłosierdzia, za pomocą których chrześcijanin niedostrzeżenie lub wyraźnie sięga celu wyższego, t. j. zbawienia duszy swych bliźnich.

W szybko po sobie następujących fazach rozwoju idei chrześcijańskiej, rozgościły się pod tym względem liczne przykłady świętych i bohaterów wiary. Aby tylko o tym i owym przebąknąć, wspomnę o lekarzach św. Dyomedesie i św. Pantaleonie. Dające się słyszeć na prawo i na lewo szepty o ich poradności i wiedzy, zostały przez nich wyzyskane na to, by o ile leżało w ich mocy, zająć wyraźniejszą postać w pracy nawracania pogan. Misyonarze w Chinach i gdzieindziej korzystają z ciekawości oświeceńszego ogołu i z nieuctwa mniej pojętnych, by przybłysnąć swą wysoką, szeroką wiedzą i sztuką. To im pozwala śledzić ukradkiem za możliwem pozyskaniem dusz i głosić ze zdwojoną energią prawdy religii tak przekonywująco, że często skutki ich kazań przechodzą najśmielsze oczekiwania. Ożywczem tchnieniem zewnętrznem, które pobudziło św. Augustyna do wiary, były porywające kazania św. Ambrożego: marzycielstwo bowiem przyszłego Orła Doktorów dało się wziąć na kwiecistą i ulotną myśl biskupa medyolańskiego.

Sam Chrystus, chcąc otworzyć szeroko serce Samarytanki na zalew wiary i łaski Bożej, znajduje na czasie jąć się drogi prośby o wodę. Kiedyindziej wyrywa z nieczystych rąk faryzeuszów skazaną na śmierć nierządnicę, aby wzięła sobie do serca upomnienie: *„Idź, a już więcej nie grzesz“* (1). Innego znowu razu uzdrawia na wzroku ciemnego, aby tem chętniej i rezolutniej zerwał z dawnem życiem i uwierzył w słowa: *„Widziałeś go (Syna Bożego) i który mówi z tobą, onci jest“* (2).

O co napróżno kusiłby się gorliwy kapłan w swej parafii, do tego doprowadza miłosierdzie okazane chorym w szpitalach, przez ciche siostry i litościwego kapłana. Dlatego na owych łóżach, zabarwionych krwią i otoczonych wieczystą mgłą śmierci, rozgrywają się sceny takich nawróceń, że wciskają wzruszenie do wszystkich zakątków serca. Iskrzystem świecidełkiem, dziecinną błyskotką, lichym pokarmem i zużytą odzieżą ujmuje sobie misyonarz dziekiego Indyanina. Dwa ciążki do ruchów gimnastycznych i sposobność do zabawy, rozrywki, gry, wabią do kaplic świątecznych zbiegowisko młodzieży, która, rozkoszywszy się uczciwą przyjemnością, daje pokarm myśli i duszy na nauce religii, a tymczasem zapomina o pieszczonym, wabiącym głosie światowej syreny. Pamięć na cielesne dobrodziejstwa oględnego i wzorowego wychowania, otrzymanego w instytutach zakonnych, wznosi człowieka, żyjącego w zamęcie wywrotnych idei świata, nad poziom krainy samolubnych płazów i depprawacyi, wiąże stale umysł

(1) Jan VII, 11
(2) Jan IX, 36

z wspomnieniem miłosierdzia chrześcijańskiego i serce przykuwa do wiary świętej.

Sprawdza się to szczególnie za naszych dni, w których indyferentyzm i tak zwane stronienie od słabostek i od ciemnoty *pedantyzmu klerykalnego*, zespolone z nieświadomością najelementarniejszych zasad wiary, z materyalizmem i zmysłowością, przyćmiewają tak dalece bardzo liczne umysły, iż one nie są zdolne zgłębić racyi czysto religijnych i cofają się przed wywodem rozumowanym, jako przed groźnem i nieprzeniknionem widmem. Takie zwiędłe serca nawpół zmarnowanych istot pozyskać można jedynie, okrywając dar łaski Bożej nęcącą maską darów materyalnych.

Dlatego ś. p. ks. Bosko, powołany głosem Opatrzności do leczenia ran dni dzisiejszych, bardzo rozumnie nadał swemu Zgromadzeniu i dziełom, przezeń podjętym, formę nad wyraz dotykalną i, rzekłbym, do tego stopnia światową, o ile charakterystyka ta nie graniczy z nieprzyzwoitością i grzechem. Ubiór Pomocników a nawet członków Salezyanów nie razi ponurością; zakłady salezyańskie nie wyglądają na posępne konwenty; życie tych domów nosi wszelkie cechy życia poświęconego katolickiemu wychowaniu i natchnionego młodzieńczą wesołością. Nawet na dalekich misyach, krokiem wstępnym każdego misyonarza jest rzecz materyalna, namacalny dar. Gdyby atoli kto zdarł z tych zakładów pokrywkę światowości i gdyby zajrzał w głąb ich duszy, dostrzegłby w ostatniej komórce ich serca, w samym początku życia i ruchu, siłę określoną dobrze hasłem: „Daj mi dusze, inne rzeczy pobierz sobie“. Już św. Ignacy Loyola oświadcza się za tą praktyką duszpasterzy, którzy czynią chęciom złych dozwolone ustępstwa, celem pozyskania ich dla sprawy Bożej.

Tłómacząc te myśli na język praktyczny, utrzymuję, że wszyscy chrześcijanie powinni te dzieła miłosierne energicznie popierać dlatego właśnie, że one tak głośno za siebie przemawiają. Owszem, porównywując ten trzeci rodzaj miłosierdzia z drugim omawianym w ostatnim zeszycie, t. j. modlitwą, śmiem twierdzić, że w licznych razach ten trzeci rodzaj rozwija w świecie akcyę skuteczniejszą, niż modły, i że na wiernych, którzy tak pojętemu miłosierdziu się oddawają, spływać mogą niekiedy większe łaski, niż na ludzi poświęconych dewocyi.

W dziejach kościoła świętego czytamy liczne karty, w których spotykamy się z wielkimi odpustami nadanymi nie modlitwom, ale uczynkom na pozór całkiem materyalnym, n. p. ofierze na budowę bazyliki św. Piotra w Rzymie, zapisaniu się do wojen krzyżowych i t. d. Nie wdajemy się w ocenę przyjęcia Bożego, jednakże ze względu na wewnętrzną wartość takich aktów, jak wspieranie budowy nowych świątyń pańskich, jak i ze względu na ich analogię z wyżej wymienionemi, a przez kościół uposażonemi odpustem, czynnościami, możemy o dobrodziejach wznoszących się kościołów zawyrokować, że ich miłosierdzie jest nader miłe Bogu. Komuż bowiem dzieje się to miłosierdzie? Czci i chwale Bożej, która się będzie w kościele po wieki rozmnażała przez pieśń, modlitwę, Mszę św., kazanie, sakramenta i nawrócenia.

Czyż to samo nie da się powiedzieć o dobrodziejach zakładów wychowawczych i dobroczynnych, w których biedne członki Chrystusa, jak wiernych nazywa św. Paweł, bywają żywione? Och tak! Łaskawi Pomocnicy, to samo możemy i musimy o nich powiedzieć, bo świat i niebo przeminą, ale słowo Boże nie przeminie. A jakież to słowo? Och! słuchajcie i chwalcie dobroć Pana naszego: „*Pokiście uczynili jednemu z tych braci mojej najmniejszych, mnieście uczynili*“.

W tych zakładach brzmi nieustannie rozdźwięk hymnu, w który splatają się harmonijne akordy tysięcy strun miłosierdzia chrześcijańskiego. Kościół św. ma prawo być dumnym z tego, iż w zakładach dobroczynnych, przezeń inspirowa-

nych, zespalają się, jakby w wspólnym i zdrowym pniu, wszystkie gałęzie wiedzy i sztuki ludzkiej. Społeczność otrzymuje z tych ognisk cywilizacyi, ludzi, którzy w chwili przełomowej życia, w chwili wybrania swej drogi zawodowej, zostali z najprzykładniejszą bezwzględnością wyprowadzeni z różnych wątpliwości, otulających ich niepewne serca. Ponadto w tych instytucyach żyje tradycya miłosierdzia Boga-Człowieka, więc wzmacniają się wątłe, jak trzcina, dusze, więc pieszczą się, traktowane w świecie po macoszemu, sieroty, więc zwraca się spokój duszy opuszczonym wdowom, więc codziennie zanoszą się do Boga modły za żywych i umarłych.

Świat czyha na niewinność dzieci, która jest przedmiotem rozkoszy Serca Bożego, i piekło wyszczerza swą paszczę, aby pochłonąć tę cnotę anielską. Lecz ich czaty wstrzymują się pod murami zakładu, jak gdyby na nich palec Boży był wypisał: „*Non plus ultra*“. Niejedna dusza, którą zaćmił powiew światowy, przeżywszy czas jakiś w zakładzie, u obfitej krynicy łaski Bożej, znowu się ubiera w tęczowo mieniące się barwy oblubienicy Chrystusa.

W tych domach budzi się czujność młodzieży, pielęgnuje się w jej sercu nietolerancyę i nienawiść do grzechu, przedstawia jej się, w świetle dowodów objawionych i rozumowanych, wiarę, otwiera się pogląd na szersze horyzonty, uczy się pracować, i kruszyć kopię za wiarę i porządek społeczny. W tych domach rosną często apostołowie Chrystusa, gorliwi kapłani, poświęceni misyonarze.

Miłosierdzie i miłosierdzie bez końca stanowi istotę tych zakładów.

Czyż więc nie możemy powiedzieć, że często ofiara na zakład ma przed Bogiem równe albo nawet większe znaczenie, aniżeli ofiara na Mszę św. lub na modlitwy? Może i tego chciał dowieść Zbawiciel tem samem, iż mogąc jednem słówkiem, rzeczonem do Ojca, dokonać odkupienia całego świata, chciał mimo to odegrać rolę biednego człowieka i przecierpieć wszystkie dolegliwości podróży, kazania i apostolstwa. Ciemnemu mógł uleczyć oczy aktem woli, a jednak schyla się do ziemi, czyni z pyłu błoto, przeciera niem oczy nieszczęśliwego i potem dopiero daje świadectwo swej wszechmocności. Mógł zaraz i bezpośrednio zlać na rodzaj ludzki owoce swej ofiary i odkupienia a jednak ustanowił, jako środek do tego, kazania i sakramenta, którymi On sam, a potem jego apostołowie i misyonarze, z niesłychanym mozołem roznosili i roznoszą te same owoce, po wszystkich krajach ziemi.

Nie dość tedy modlić się za wyzdrowienie chorych: należy nadto nieść pomoc tym, co materyalnie nad nimi pracują. Nie wystarczy modlić się za nawrócenie niewiernych, trzeba wspierać owe materyalne zabiegi, bez których ewangelizacya mogłaby się wyrodzić w niemożliwe do zastosowania głoszenie. Dobrą jest rzeczą utyskiwać przed Bogiem na zanik wiary i na demoralizacyę młodzieży: lecz przedewszystkiem należy podtrzymywać owe zakłady, które mają właśnie za zadanie ograniczać niebezpieczeństwo niedowiarstwa i niemoralności.

Na biednym robotniku, którego bieda nielitościwie smaga i który cały tydzień zamiera od pracy, by się dorobić kilku groszy, potrzebnych sobie i swej rodzinie, musi napewno niewypowiedzianie ciężyć odłożenie choćby tylko kilku centów lub fenigów na potrzebę bliźniego. Lecz może większego jeszcze zaparcia się wymaga ofiara od bogacza. Właściciel bowiem wielkich dóbr często je uważa za konieczne dla utrzymania w należytym blasku swej godności, lub chciałby je przeznaczyć na przedsięwzięcia zaszczytne i głośne. Tymczasem ofiara na misye albo na biedny zakład ginie często przed ludzkiemi oczyma, pozostawiając po sobie tylko zadowolenie sumienia wierzącego w Boga, który często dopiero po śmierci za dobre uczynki nagradza. Nierównie wygodniejszą byłoby rzeczą mo-

dlić się czas jakiś lub ofiarować Mszę św. Lecz czy ten gwałt zadany sobie i to zaparcie się pieniędzy i miłości własnej ginie przed Bogiem?

Oto więc różne objawy i praktyki miłosierdzia chrześcijańskiego. Do którego lgniemy sercem? Który polecamy?

Wogóle należy się trzymać zasady pisma św.: „Te rzeczy trzeba czynić a onych nie opuszczać". Biada światu, gdyby ustała modlitwa i gdyby wszyscy ludzie oddawali się wyłącznie materyalnym ćwiczeniom: lecz nędzną byłaby znowu modlitwa, któraby wołała o cuda a pozbawioną została pomocy sił naszych! Wszystkie rodzaje miłosierdzia są chwalebne: każdy chrześcijanin niech ich wykonuje jak najwięcej.

Jak w ciele ludzkiem nie wszystko jest okiem lub ręką, a jednak i oko i ręka i inne członki bronią części obrażonej, tak i my, członki ciała Chrystusowego, według naszego różnego powołania i stanu, wspierajmy tych, którzy podlegają potrzebom. Płońmy wszyscy ogniem, który Zbawiciel przyszedł zapalić na świecie: wtedy wszyscy znajdziemy sposób, by być bliźnim pożytecznymi; owszem każda chwila życia zamieni się wobec naszej dobrej woli na chwilę ratunku dla braci i chwilę zasługi dla nas, bo „*Tym, którzy miłują Boga, wszystko dopomaga ku dobremu*" (1).

(1) Rzym. VIII, 28.

Pielgrzymka Polska do Rzymu!

Od mistrza dworu papieskiego, Monsignora Bisleti, otrzymał J. Em. ks. kardynał Puzyna zapewnienie przy piśmie z dnia 15 lutego, że Ojciec św., uradowany zamiarem urządzenia w tym roku pielgrzymki polskiej do Rzymu, gotów jest udzielić posłuchania pielgrzymom naszym. Program pielgrzymki jest następujący:

Wyjazd z Krakowa w dniu 21 kwietnia w poniedziałek po południu. Wyjazd z Wiednia dnia 22 kwietnia rano; przybycie do Padwy 23 kwietnia rano; odjazd wieczorem; przyjazd do Loretu 24 kwietna rano; odjazd wieczorem; przyjazd do Asyżu 25 kwietnia rano; odjazd wieczorem; przyjazd do Rzymu 26 kwietnia rano.

Pobyt w Rzymie dni dziesięć. — Odjazd wspólny lub osobno dnia 5 maja po południu. Powrót przez Florencyę, Bolonię, Padwę, Wenecyę, Wiedeń do Krakowa. Zgłaszać się należy jak najwcześniej, najpóźniej do dnia 10 kwietnia. Pieniądze, dokładnie obliczone, nadsyłać należy pod adresem: ks. Dr. Wincenty Smoczyński, proboszcz parafii św. Floryana w Krakowie.

Podróż z Krakowa do Rzymu i z powrotem do Krakowa, wraz z dziesięciodniowem utrzymaniem w Rzymie kosztuje: III klasa 140 koron, 120 marek, 55 rubli; II klasa 240 koron, 190 marek, 95 rubli; I klasa 300 koron, 268 marek, 120 rubli. — Pielgrzymi dojeżdżający ze wszystkich stacyi kolejowych w Galicyi i Bukowinie, otrzymają bilety za pół ceny do Krakowa. Bilet pielgrzymkowy służy na dni 60; można więc z powrotem zatrzymać się tak długo, jak kto zechce, byleby nie przedłużyć oznaczonego terminu.

Wydawnictwo *Wiadomości Salezyańskich* zachęca do uczestnictwa w tej pielgrzymce narodowej wszystkich tych Czytelników, którym środki i okoliczności pozwalają na jakiś czas opuścić swój dom a udać się do miasta wiecznego, podziwiać więźnia Watykanu i cieszyć się z nim tak długiem rządzeniem Stolicy Piotrowej. — Niechaj przeto zacni Czytelnicy, idąc za przykładem naszych ojców, którzy takowe pielgrzymki z uniesieniem podejmowali, okazując tem swe szczere przywiązanie do Stolicy apostolskiej, korzystają z tej ślicznej sposobności i uczynią jak najliczniejszem grono pielgrzymów polskich!

MISYE SALEZYAŃSKIE

w Mato Grosso (Brazylia).

(Z listu ks. Jana Balzoli).

Najprzewielebniejszy Ojcze!

Cujabà, 15 listopada 1900.

Deo gratias! Wróżby o blizkim rozkwicie misyi w północnym Mato Grosso, między spokojnymi *Bacajris* i dzikimi *Cajabis*, zdają się być oparte na dobrej zasadzie. Przy jej rozpoczęciu zachodziły liczne i do pokonania trudne przeszkody, które jednak przy pomocy Najśw. Maryi Panny szczęśliwie przełamane zostały, w sposób niżej opisany.

Zbieg z masoneryi. — Indyanie Cajabis. — Wyjazd. — Villa de Rosario.

Dziki szczep *Cajabis*, który rzuca trwogę i postrach na ludzi ucywilizowanych, zajętych wyciąganiem kauczuku, zamieszkuje puszcze nad rzeką *Paratinga* i *Rio Verde*, między 57 a 58 stopniem długości geograficznej od Paryża a 13 i 15 stopniem szerokości południowej. Już od roku 1860 *Cajabis* tak uporczywie napadali spokojny szczep *Bacajris* i tak często najeżdzali i pustoszyli jego ziemię, że go wyparli ze swej siedziby. Ustępując, rozpadli się *Bacajris* na dwa odłamy. Jeden rozłożył się nad rzeką *Kinzu* i nie wybrnął do dziś dnia z nieuobyczajenia. Drugi zajął brzegi *Arinos* i zostając pod wpływem cywilizacyi i chrześcijaństwa, porzucił dawne swe obyczaje.

Między tym ludem schronił się 1864 r. przed sztyletem masońskim kapitan okrętowy Emanuel Antoni de Lonza Gomes, posądzony o zdradzenie tajemnicy sekty. Za otrzymany przytułek kapitan odwdzięczył się w ten sposób, że przez dziesięć lat uczył *Bacajrisów* czytać, pisać i uprawiać rolę. On również przy przenikliwem badaniu lasów, wpadł na wielką ilość drzew *Siphonia elastica, Hewea guianensis* i *Pao seringa*, i ogłosił światu odkrycie parakauczuku, który obecnie niewyczerpane źródło bogactwa całej Brazylii stanowi. Stąd kapitan zyskał szeroką sławę a liczne stowarzyszenia rzuciły się na te lasy, jak stado wilków na owce, zakupywały wielkie obszary i dotarły 1893 r. do rzeki *Paratinga*, do samej siedziby dzikich *Cajabis*.

Przez trzy lata ani jeden Indyanin nie wychylił się z lasu, ale widywano zawsze na piasku ślady ich stóp. Dopiero w roku 1896 podłożyli ogień pod mieszkanie robotników, pokradli co im podpadło pod oczy, a stróża zabili strzałami, porąbali jego ciało na drobne kawałki i, nadziawszy je na łuki, roznieśli po lesie. Nieco później gromada robotników zetknęła się z kupą Indyan, którzy krzycząc i grożąc pięściami, kazali im natychmiast wracać, skąd byli przyszli. Mimo to pewien odważny robotnik przystąpił do rzeki, aby się z kacykiem układać i dary mu złożyć. Indyanin przyjął dobre słowo, a za podarunki w ten sposób się wywdzięczył, że odchodzącemu robotnikowi przeszył wskróś piersi ostrą strzałą.

Nie dość na tem. W miesiąc później napadli Indyanie na gromadkę ludzi, złożoną z dwu mężczyzn, kobiety i dziewczynki, i poczęli na nich miotać strzały. Już jeden mężczyzna zwalił się z nóg nieżywy, a drugi był ciężko ranny; już kobieta mdlała od strachu, a córeczka tuliła się do niej i krzyczała z przerażenia, gdy przybiegło kilku robotników uzbrojonych w strzelby. Indyanie natychmiast ukryli się w gęstem zaroślu, więc pochowano spokojnie zabitego. Ale po kilku dniach znaleziono grób otwarty i trupa bez głowy.

W wrześniu 1899 inżynier Alemanno zapuścił się, z liczną komitywą, w głąb puszczy, jadąc rzeką *Paratinga*, ale po trzydniowej żegludze chmury strzał indyańskich zmusiły ich do odwrotu. W kwietniu 1900 r. *Cajabis* podpalili szałasy *Bacajrisów* i cywilizowanych osadników nad rzeką *Rio Nuovo*. Zostali jednak odparci ogniem karabinowym, od którego kilku legło nieżywych, a inni odnieśli członki poszarpane ostremi kulami. Wszakże straszną była ich zemsta, schwytawszy bowiem w ucieczce pewnego robotnika, okrutnie się nad nim pastwili, a w końcu odcięli mu głowę i wbili na wysoką żerdź w porcie *Mulatera*.

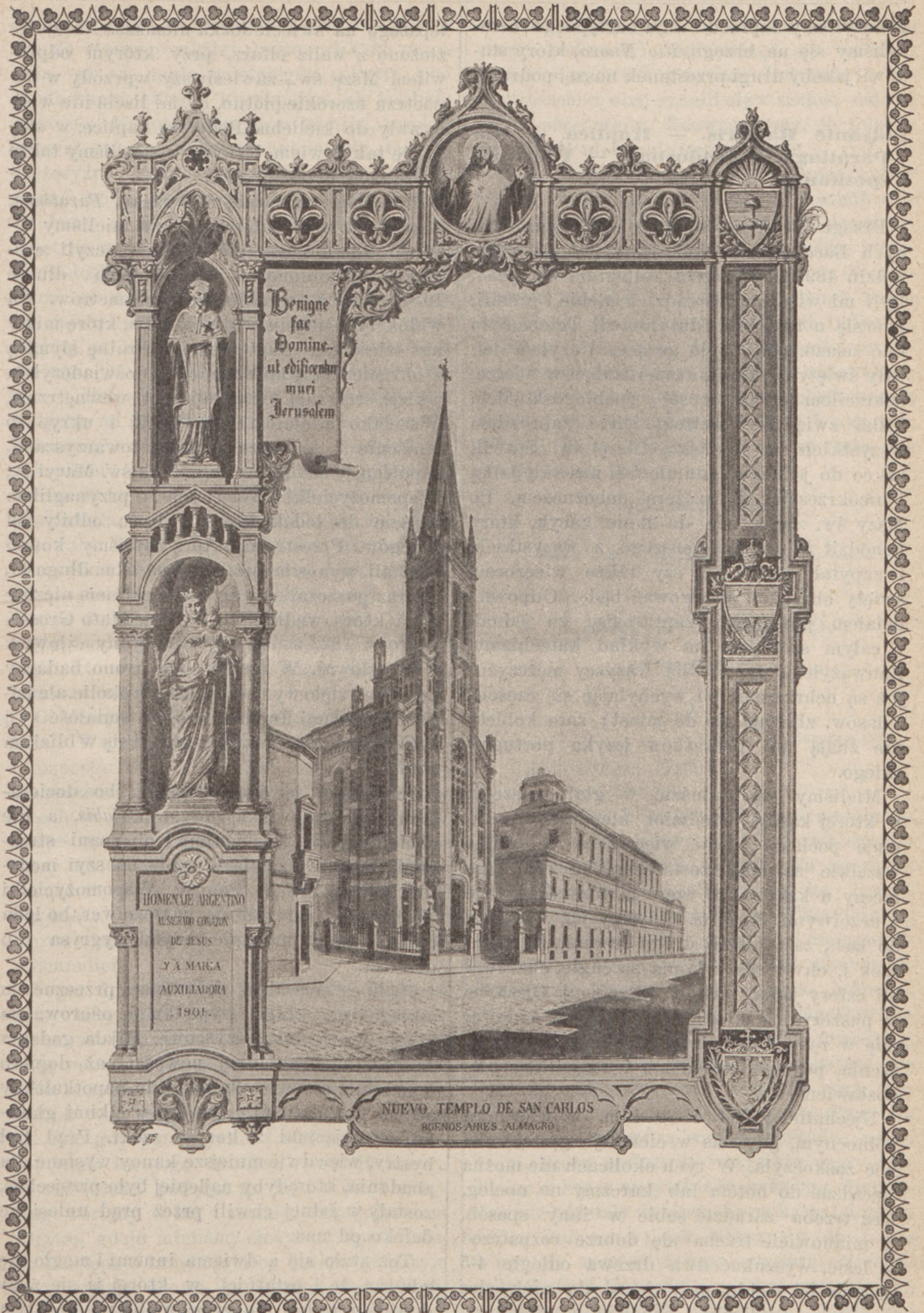
Z powodu tych mordów i zemst, postrach ogarnął cywilizowanych, a rząd przeznaczył 20,000 franków na katechizacyę i nawracanie tego szczepu. W tym celu uchwalono wielką wycieczkę z zacnym Józefem Benedyktem Pedroso Gomes na czele i postanowiono powzięty zamiar jak najprzędzej uskutecznić. Nasz ksiądz Malan, przełożony misyi w Mato Grosso, umyślił do nich się przyłączyć: że jednak lekarz stanowczo mu tego wzbronił, zastąpił go piszący.

Gotowano się więc gorliwie do czteromiesięcznej podróży, ściągano muły, walizy zapełniano różnemi świecidełkami i błyskotkami dla Indyan i wreszcie uradzono puścić się w podróż 19 maja. Już o godzinie czwartej rano odprawiłem Mszę św. przed całą komitywą, następnie pożegnałem księdza Malan i w imię Boże ruszyliśmy. W samą chwilę odjazdu otrzymałem od naszego Najprzew. ks. biskupa Karola d'Amour list, którym udzielał mi swego błogosławieństwa, rozszerzał zakres jurysdykcyi i nadawał większą władzę duchowną.

Za dwa dni ujechaliśmy 130 klm., a 21 maja stanęliśmy w *Villa de Rosario*, gdzie zabawiliśmy się aż do 3 czerwca. Nadarzyła mi się sposobność zapoznania się z licznymi naszymi przyjaciółmi, którzy wiele mi namówili o potrzebie kollegium i tak pragną domu salezyańskiego, że mi sobie kazano obrać grunt pod takowy. Taki zakład miałby dla naszych misyi wielkie znaczenie, gdyż *Villa de Rosario* jest progiem do szczepów zamieszkujących północ i zachód.

Dnia 3 czerwca opuściliśmy *Villa de Rosario* z licznym orszakiem jeźdźców, którzy nam towarzyszyli przeszło cztery kilometry. Potem zapuściliśmy się sami w owe straszne, niezgłębione puszcze, które miały być przez trzy miesiące świadkami naszych kroków i niebezpieczeństw. Według przyjętego planu podróży trzymaliśmy się stale kierunku północnego, jadąc dwa dni u podnóża Kordylierów *Tombador*. Tęskne myśli snuły mi się w głowie. Duch mój bujał po dzikiej krainie, po owych 1500 klm., na których nie mieliśmy napotkać ani jednej rodziny cywilizowanej, ani domów, ani kaplic, jeno dziewicze puszcze, drapieżne zwierzęta i gotowych do każdego okrucieństwa Indyan.

Nad strumykiem *Dos Notres* złączyliśmy się z drugą częścią komitywy, która opiekowała się mułami. Z powodu, że w ciągu dwu godzin nie zdołano jeszcze zgromadzić wszystkich mułów, sam kierownik wyprawy pojechał tropić. Gdy jednak po pewnym czasie nie było go widać z powrotem, posunęliśmy się naprzód, spodziewając się, że lada chwila będzie przy nas. Ale nadszedł wieczór, nastąpiła i minęła noc, już i budziła się zorza poranna a nasz towarzysz, jakby w ziemię przepadł. Już się czarne w piersiach odzywały przeczucia, już zaczęliśmy go opłakiwać, gdy o godzinie 10 wieczorem stanął cało przed nami. Podróż z wielu mułami ma tę niedogodność, że często trzeba stawać na popas i czynić trzydniowe przestanki, aby im dać odpoczynek. Zwykle rozpinają się namioty przy jakim strumyku lub stawisku, by się muły za wodą nie oddalały. Na noc daje im się zupełną wolność, by się mogły po łąkach swobodnie paść, i często zdarza się, że muły rozchodzą się, lub pokryją za krzakami. Inne zmyślniejsze, natrafiwszy na tory jazdy, wracają którędy były przyszły. To się i nam przytrafiło: kierownik musiał jechać po niektóre aż do *Villa de Rosario*. Złączywszy się,


Benigne fac Domine ut edificentur muri Jerusalem
HOMENAJE ARGENTINO AL SAGRADO CORAZON DE JESUS Y A MARIA AUXILIADORA 1901
NUEVO TEMPLO DE SAN CARLOS
BUENOS AIRES ALMAGRO

podążyliśmy naprzód i dnia następnego rozłożyliśmy się na brzegu *Rio Nuovo,* który stanowił jakoby drugi przestanek naszej podróży.

Indyanie Bacajris. — Kaplica. — Rio Paratinga. — Wodospad. — Pierwsze spotkanie.

Brzegi *Rio Nuovo* są siedzibą Indyan zwanych *Bacajris,* z których ochrzciłem już kilka rodzin 1899 r. w naszem kollegium w *Cujabà.* Byli mi więc bardzy radzi u siebie i prosili, bym się u nich kilka dni zabawił. Trzeba było kuć żelazo, póki było gorące. Uczyłem ich tedy świętych prawd, utwierdzałem w wierze, ochrzciłem do stu osób, pobłogosławiłem kilka związków małżeńskich i zaprosiłem wszystkich na jutrzejszą Mszę św. Stawili się co do jednego i zdumiewali nas swą dziką i nieokrzesaną ale szczerą pobożnością. Po Mszy św. zbliżył się do mnie kacyk, który uchodził za najoświeceńszego z wszystkich, i zapytał mnie się, czy także wieczorem święty obrządek sprawować będę. Odpowiedziałem przecząco, zapraszając go jednak z całym szczepem na wykład katechizmu. Zauważyłem, że prawie wszyscy mężczyźni już są ochrzczeni, bo wychylając się częściej z lasów, zbliżają się do miast; zato kobiety nie znają ani początków języka portugalskiego.

Mieliśmy się zapuścić w głąb puszczy, w której każdy przedmiot niepotrzebny tamuje pochód: chcąc więc z góry usunąć wszelkie zawady, zostawiłem niekonieczne rzeczy u kacyka i 29 czerwca rozstaliśmy się z uczciwymi *Bacajris.* Gdyśmy już wjeżdzali do lasu, zastąpił mi drogę 70 cioletni staruszek i, chwyciwszy konia za cugle, ofiarował mi cztery jajka, rzekąc: „Przyjmij, Ojcze, bo w puszczy ich mieć nie będziesz“, i ucałował mię w rękę. Odchodząc od siebie ze wzruszenia, podziękowałem mu i udzieliłem błogosławieństwa.

Ujechaliśmy ledwo 30 klm. w kierunku północnym, gdy nas w ciemnej i gęstej knici noc zaskoczyła. W tych okolicach nie można zajeżdzać do hotelu lub karczmy na nocleg, lecz trzeba zaradzić sobie w inny sposób. A mianowicie trzeba się dobrze rozpatrzeć w lesie, wyszukać dwa drzewa odległe 4-5 metrów od siebie, przywiązać do nich sieć w rodzaju hojdawki i wmówić w siebie, że lepszego na świecie łóżka niemasz. Nazajutrz złożono z waliz ołtarz, przy którym odprawiłem Mszę św., zawiesiwszy wprzódy w powietrzu szerokie płótno, by mi liście nie wpadywały do kielicha. Podobne kaplice, w stylu, że tak powiem, leśnym, wznosiliśmy także na innych przestankach.

Stanęliśmy wreszcie nad rzeką *Paratinga,* w porcie t. zw. Mulatera, gdzie mieliśmy zostawić konie a wstąpić w kanoy, czyli czółenka wyżłobione z jednego pnia, długie 10 metrów a szerokie 80 centymetrów. Na widok tych pięciu wątłych łodzi, które miały nas wieść tak długi czas i w krainę słynącą z okrucieństwa mieszkańców, doświadczyłem jakiejś strasznej niespokojności wewnętrznej. Wszelako zdołałem przytłumić i ukryć to wrażenie i te uczucia przed towarzyszami, a polegając na opiece Boga i Najśw. Maryi P., Wspomożycielki Wiernych, przynagliłem wejście do łódek, które 3 lipca odbiły od brzegów. Przestrzeń, którą byliśmy konno ujechali, wynosiła przeszło 500 klm. długości, a teraz puszczaliśmy się rzeką całkiem nieznaną, i którą, według historyków Mato Grosso, od roku 1822 żaden ucywilizowany człowiek nie żeglował. W owym roku grono badaczy przedsięwzięło wycieczkę do tych okolic, ale ścigani strzałami Indyan, częścią śmiałość swą życiem przypłacili, częścią ukryli się w blizkim *Parà.*

Jechaliśmy bardzo ostrożnie, bo docieraliśmy do środowiska Indyan *Cajabis,* a nie chcieliśmy być zaskoczeni i obsypani strzałami. Wszyscy zawiesili sobie na szyi medalik Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych i uzbroili się w rewolwer, bo lada chwila mógł nastąpić napad tygrysa lub dzikusa.

10 lipca zerwałem się ze snu z przeczuciem jakiegoś przykrego wypadku i ofiarowałem Mszę św. za dusze czyścowe. Mijała godzina za godziną bez żadnej nowości, aż dopiero o godzinie czwartej po południu napotkaliśmy straszny wodospad, najeżony wielkimi głazami, wystającymi z koryta rzeki. Prąd był bystry, więc dwie mniejsze kanoy wysłane dla zbadania, którędyby najlepiej było przejechać, zostały w jednej chwili przez prąd uniesione daleko od nas.

Toż stało się z dwiema innemi i mogło się zdawać, że i ostatniej, w której ja się znajdowałem, żadne nie grozi niebezpieczeństwo,

Istotnie, jadąc nader szybko, już zbliżyliśmy się do ciasnego między dwoma głazami przejścia, aż tu nagle spostrzegam ukrytą pod wodą skałę. „Stać!“ krzyknąłem, ale już było zapóźno. Kanoa uderzyła o kamień, prąd ją porwał, wiosła nic wskórać nie mogły. Czterej mężczyzni, wskoczywszy do wody, usiłują nadać czółnu bieg regularny, ale napróżno. Wołamy o pomoc, bo woda silnie się do wnętrza wciska. Przewodnik rzuca się w rzekę i już dosięga rękoma brzegu, gdy nagle wart unosi go dalej. Mnie tymczasem niesie kanoa na największą głębinę i zanurza się coraz głębiej w rzece . . . Już woda dochodzi mi do szyi, już nie czuję pod nogami deski i wołam: „*Ratunku! Ratunki!*“ „*Tylko śmiało!*“ krzyczy mi ktoś z brzegu. „*Niech się ksiądz dobrodziej uchwyci tego worka!*“ Machinalnie uczepiłem się worka mandioki i płynęłem z nim 80 metrów, aż przybiegła kanoa i przyprowadziła mnie do brzegu. Inna łódź wyratowała tonącego kierownika ekspedycyi. Wszystkie kanoy zaczęły zaraz ścigać i łowić ginące rzeczy, ale porywający prąd uniósł hostye do Mszy św., żelazną skrzynię zawierającą małą podróżną apteczkę, pięć worków mąki, która miała stanowić nasze pożywienie, a nawet moją sutannę.

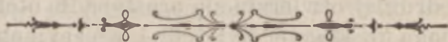
Ochłonąwszy z przestrachu, podziękowaliśmy Wspomożeniu Wiernych za ocalenie i rozpostarliśmy uratowane rzeczy na słońcu do suszeniu. Odtąd wypadało nam jadać po trzech z jednej pokrywy, bo garnki leżały gdzieś na dnie rzecznem. 13 lipca napotkaliśmy na drugi, groźniejszy wodospad. Mając jeszcze w żywej wyobraźni wypadki przedonegdajsze, postanowiliśmy wyjść na brzeg i prowadzić łodzie na linach. Powiodło się to wyśmienicie.

Tegoż dnia zoczyliśmy pierwszego *Cajabisa*, który krzycząc i grożąc, nakazywał nam natychmiast się wracać. Kazałem zaraz wysiąść na przeciwnym brzegu i pokazywać mu kołdry, noże, koszule, chusteczki, świecidełka i t. d. Widok tych rzeczy złagodził nieco Indyanina. Ale gdy potem jedno z mniejszych czółen popłynęło ku jego brzegowi, wpadł znowu w wściekłość, podążył do lasu i wnet przybiegł zbrojny w łuk i strzały, wskazując nam miejsce, gdzie mieliśmy złożyć owe przedmioty. Następnie krzycząc niby tonem pytającym i wymawiając słowa, które nam się zdawały brzmieć: *Arrù? que cho? Arrerù?*, umknął do lasu. Złożywszy na wskazanem miejscu nasze podarunki, cofnęliśmy się na nasz brzeg. Zaraz też przypadł Indyanin z towarzyszem i obaj rzucili się z szałem radości na te przedmioty. Zauważyliśmy, że żelazne miały dla nich największej powabu.

Zabrawszy wszystko, dali znam znać, byśmy jeszcze co innego tam położyli. Poszedłem ja sam, ale chcąc się do nich zbliżyć, spostrzegłem, że się przede mną cofali, grożąc strzałami. Musiałem więc złożyć dary na wyznaczonem miejscu i wrócić na drugi brzeg rzeki. Gdy po te rzeczy nadbiegli Indyanie, daliśmy im znakami do zrozumienia, by innych przywołali Indyan. Odeszli zadowoleni.

Byliśmy bardzo ciekawi, jaki obrót wezmą rzeczy. Przeczekaliśmy cały dzień i całą noc. W pobliżu ryczały tygrysy, ale za rzeką nie zawył żaden Indyanin.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Listy z Kolumbii.



I.

Bogotá, 24 sierpnia 1901.

NAJDROŻSZY OJCZE!

Od dwóch lat trzymała mnie rewolucya jakby na uwięzi i nie pozwoliły wychylić się z Bogotá. Na początku sierpnia zjawił się tu ks. Ernest Briata, dyrektor zakładu w Villavicencio, z kilku mułami, i przypomniał mi zaciągnięty przezemnie kiedyś w przeszłości obowiązek urządzenia misyi wśród owych ludności. Ks. arcybiskup, udzielając mi błogosławieństwa na podróż, dał mi ojcowską przestrogę i rzekł: „Ksiądz Dobrodziej dopuszcza się wielkiej nieroztropności. Zimową porą niepodobna, aby pogoda dopisała; drogi są bagniste i prowadzą was przez środek rewolucyi, która rozluźniła wszystkie węzły społeczne i kpi z wszystkiego co święte. Zrebelizowane oddziały wałęsają się po kraju i dopiero kilka dni temu, jak wtargnęły do Usme i wycięły w pień załogę rządową. Niechże tedy Ksiądz Dobrodziej poczyni przynajmniej przedwstępne kroki ostrożności. Jazda po-

winna się odbywać bardzo wolno, przyczem trzeba z wielką czujnością baczyć na okolicę i cofać się przed każdem niebezpieczeństwem.“

Siódmego sierpnia o wczesnym ranku wysuwał się za mury stolicy orszak jeźdźców, złożony z pięciu ludzi, t. j. z pewnego kapłana świeckiego, którego nam ks. arcybiskup za towarzysza i pomocnika przydał, z nas dwóch księży Salezyanów, z jednego braciszka i pachołka do mułów.

Półtorej doby upłynęło bez żadnej przygody. Dopiero od południa drugiego dnia zaczęły się mnożyć niebezpieczeństwa. Towarzyszący nam ksiądz omal że nie porzucił naszej kompanii i nie wrócił do Bogotá. A z pewnością byłby to uczynił, gdyby choć jeden z nas był do niego przystał, ale każdy odpowiadał: „U mnie już na to za późno!“ Była też rzeczywiście zgroza jechać drożynką w niektórych miejscach ani na pół metra nie szeroką. Z jednej strony piętrzyły się strome góry, a z drugiej otwierała się prostopadła otchłań, głęboka to sto, to dwieście i więcej metrów: na jej dnie, porosłem dzikim jarem, gwałtowny Rio Negro szumiał tak strasznie, jakoby się domagał żeru i ofiary. Jedno potknięcie się muła, jeden zawrót głowy, mógł najśmielszego jeźdźca stoczyć w przepaść. Aby uprzedzić wszelką katastrofę, nasz ksiądz towarzysz zsiadł z muła i szedł pieszo, ostrożnie, noga za nogą, co spowodowało, że wszyscy musieliśmy zwolnić pochod i nie mogliśmy zdążyć na wyznaczony sobie nocleg. Na szczęście odkryliśmy koło drogi szałas, w którym spędziliśmy noc, rozciągnąwszy się na twardej ziemi.

Najwięcej wszakże dał nam się we znaki trzeci dzień podróży. Ostatnie ulewy spowodowały tu i owdzie oberwanie się gór, które najeżyło pochód poważnemi niebezpieczeństwami. Aby mieć konieczną swobodę ruchów, zsiedliśmy z mułów, dźwignęliśmy i przywiązali suknie do boków, spodnie zagięliśmy do kolan i boso zaczęliśmy iść ścieżką, która zwężyła się do tego stopnia, że trzeba było z wielką przezornością stawiać nogę koło nogi. Po lewej urwista góra, pokryta zwieszonymi głazami, które mała warstwa błota wstrzymywała od upadku i od zepchięcia nas do przepaści; z prawej otchłań przepaścista, głębokości przeszło stu metrów, z której dochodził szmer rozbijającego się o skały potoku; a my odurzeni przestrachem, między niebezpieczeństwem z góry i z dołu, szliśmy po chodniku szerokim kilka ledwie centymetrów i szliśmy długo i z wiarą w Sąd Boży i Jego Miłosierdzie, aż spotkaliśmy potok. W tym przechodzie postąpiliśmy sobie bardzo nieroztropnie, puszczając muły, by szły samopas, jeden po drugim. Zdarzyło się bowiem, że w samym środku niebezpieczeństwa pierwszy muł stanął nagle i dalej postępować nie chciał, siląc się nadto na skok, by się obrócić wstecz na tem samem miejscu. Wystraszył się tą manewrą następujący po nim muł, stracił w jednej chwili równowagę i potoczył się do przepaści. Szczęściem pochyłość była pokryta kamieniami, błotem, drzewami, wśród których zwierzę zdołało się zatrzymać w głębości dziesięciu metrów, w punkcie, gdzie właśnie zaczynała się pionowa ściana bezdennej głębi. Odważny muł wiedziony instynktem samozachowawczym i zachęcony naszem wołaniem, zdołał doskoczyć do twardej skały, skąd go ks. Briata doprowadził na ścieżkę.

Nie tak poczynają sobie doświadczeńsze od nas osoby. Jeden bowiem trzyma zwykle muła z przodu za cugle, a drugi z tyłu za ogon, utrzymując go w ten sposób na nogach. Tak przechodzą ponad tą otchłanią długą 70 metrów mężczyźni, kobiety, dzieci, bydło i obładowane muły. Lecz kto nie posiada zimnej krwi lub ma nerwy rozigrane, temu to przejście równa się strasznej katuszy.

Całe to niebezpieczeństwo to już pół biedy, ale jakże tu sobie poradzić przed potokiem wezbranym, ogłuszającym, szalonym i bez mostu? Dostaliśmy się z deszczu pod rennę. Za szczęście mogliśmy sobie jeszcze poczytywać, że także z drugiej strony potoku kilka osób przemyśliwało, jakby przejść. Muły przeszły wpław a my wdrapaliśmy się na szczyt góry, pod którą płynie potok: w odległości sześciu metrów sterczała krawędź przeciwległej skały, na którą mieliśmy się dostać: w środku przepaść wyżłobiona w żywej opoce, a na dnie kamienne łożysko potoku. Co tu było począć? Z obu stron przerzucono liche drzewo, które utworzyło chwiejącą się kładkę, dwaj chłopi trzymali z obu stron grubą linę, która miała służyć za poręcz, inni przytrzymywali pnie, by się pod nogami przechodzącego nie obracały. Wreszcie stanąłem bosą stopą na tym oryginalnym moście, jedną ręką uchwyciłem się liny a drugą podniosłem do

góry, by się utrzymać w równowadze: drzewo się pod nogami uginało, lina ruszała się na wszystkie strony, ważyłem się w powietrzu, wzrok osłupiał, ciało drżało, jakoś mi było mdło: już myślałem, że się puszczę, że uślizgnę, wpadnę w otwierającą się podemną przepaść i w spienione odmęty potoku. Ale doszedłem i powiedziałem, że to fraszka, dziecinna zabawa i tak zachęciłem towarzyszy, że wszyscy przeszli bez trwogi. Jest to przedsięwzięcie łatwe do opisania a łatwiejsze jeszcze do do przeczytania, ale w rzeczywistości zajęło nam ni mniej ni więcej, tylko dwie godziny czasu.

Już każdy dosiadł swego muła i myśli jechać spokojnie, gdy tu znowu droga zawalona obsypującą się górą i znów trzeba zeskakiwać z kulbaki i iść jak przed potokiem. W końcu i to niebezpieczeństwo minęło, więc już każdy na siodle i pogania zwierzę, by stanąć jak najprędzej u celu, a tu nagle przewodnik krzyczy na całe gardło: „Nie można dalej jechać! liczne stado bydła idzie tą ścieżką z Villavicencio do Bogotá. Trzeba wracać!“

Miejsce spotkania było wązkie. Z tej strony góra, a z tamtej przepaść, więc zszedłszy z mułów, ustawiliśmy się każdy ze swym czworonogiem przy samej skali, aby zostawić jak najszersze przejście. Lecz bydło, zoczywszy nas, ani rusz dalej iść nie chciało: na nic się nie zdały krzyki i chłosty pastuchów. Wprawdzie wysunął się naprzód jakiś olbrzymi wół, ale nagle, ujrzawszy naszą gromadę, przeraził się strachem, zachwiał się na nogach i runął z ogromnym łoskotem na dno 200 metrowej przepaści. Występuje drugi, lecz i ten cofa się w tył, traci równowagę i jest w głębi. „Tak zmarnuje się całe stado“, rzekł mi doświadczony przewodnik, „jeśli my natychmiast nie pójdziemy wstecz“. Musieliśmy się wrócić kilkaset metrów i zmitrężyć wiele drogocennego czasu.

Nie wspominam o innych przygodach. Wieczorem wjeżdzaliśmy do Villavicencio. Ludność nas oczekiwała z ogromnem zaciekawieniem: załoga ustawiona na rynku witała nas salwami.

W niedzielę, 11 sierpnia, zaczęliśmy misyę, której P. Bóg tak pobłogosławił, że wysłuchano spowiedzi 1300 mieszkańców i to spowiedzi przeważnie z 5, 6, 10, 20 i 30 lat. Dziewięciometrowy krzyż wystawiony i poświęcony na jednym z poblizkich pagórków pozostanie wiecznym śladem i pamiątką odbytej misyi. 20 sierpnia wyruszyliśmy i tą samą drogą, rachując się z temi samemi niebezpieczeństwami, wróciliśmy do Bogotá 23 sierpnia.

O wojnie domowej, o lazaretach i wielu innych rzeczach doniosę wkrótce innym listem.

Racz, Najdroższy Ojcze, pobłogogosławić mnie i pracujących w Kolumbii współbraci.

In Corde Jesu najprzywiązańszy

X. Ewazy Rabagliati.

II.

Bogotá, 18 października 1901 r.

CZCIGODNY I NAJDROŻSZY OJCZE!

Dwa lata właśnie, jak w tej dalekiej rzeczypospolitej straszną rozpoczęto wojnę domową. 18 października 1899 r. wzbił się pod niebiosa pierwszy okrzyk rokoszu przeciw prawnemu rządowi, padł pierwszy wystrzał wymierzony do żołnierzy, którzy bronili prawa i władzy; i od tego dnia *„quantum mutata ab illa“*.

Pierwej piękna, bujna, młoda, tak bogata i potężna, jak którabądź inna rzplta Ameryki Południowej; teraz obrzucona plugawem błotem, zbroczona własną krwią i zarznięta przez własnych synów. Dwuletnia wojna nie zostawiła śladu dawnego dobrobytu, bo wszędzie szkarada, wycieńczenie, brak, nędza, starość. Więcej niż dwieście razy przyszło do bratobójczej bitwy; liczba poległych, rannych, kalek, wzrosła do przestraszających rozmiarów a wdów, sierot i opuszczonych nikt zliczyć nie zdoła. Przepadło bogactwo publiczne i prywatne, bo wszystko zamieniono na proch, kule, przyrządy do niszczenia kraju i do tępienia obywateli. Dziesiejszej Kolumbii nie rozeznałby cudzoziemiec, który ją zwiedził przed wojną.

Dnia dzisiejszego dzieło niweczenia i zagłady nie tylko trwa, nie tylko nie położono mu kresu, ale rośnie zdumiewająco i staje się groźniejszem i napawa wszystkich obawą i przestrachem. Wewnątrz włóczą się kupy swawolnego żołnierstwa, plondrując kraj, szerząc spustoszenie, nędzę, głód i śmierć;

na granicach stoją rozbójnicy morscy, grożąc i wyzywając do boju. Nicaragua wysłała eskadrę ochotników; Venezuela kazała swej flocie zaczepić i bombardować Uisachę, którą z lądu atakowały liczne bataliony piechoty i konnicy. Już i Ekwator gotował wyprawę morską na Oceanie Spokojnym i słał wojsko lądowe ku granicom Kolumbii, ale zmiana rządu przerwała nić dalszych kroków nieprzyjacielskich, bo nowy prezydent p. Plasa postanowił trzymać się roztropnej neutralności.

Każda, a szczególnie domowa i długotrwała wojna, otacza się licznym dworem nieodstępnych satellitów, do których przedewszystkiem zaliczyć należy nędzę, choroby, głód, nienawiść i niezgodę. Chociaż pola bitew usłały się tysiącami trupów, to jednak niezrównanie większą ilość mogił otworzyła nędza i choroba. Ta przedłużona i sroga wojna jest napewno dla Europejczyków niezgłębioną tajemnicą i zagadką, ale dla nas, co wiemy, że tutejszy liberalizm est nawskroś sekciarski, że nasza masonerya krajowa i zagraniczna dąży do zniszczenia tutejszego rządu rdzennie katolickiego, dla nas ta wojna jest rzeczą nader jasną. Obecnie sprawa tak się ukształtowała, że jedynie cud może zbawić Kolumbię i w ten cud wierzą niezachwianie wszyscy wierni i szczerzy katolicy, ufni w słowo Pisma św., że *jałmużna od śmierci wybawia.*

W moim liście ogłoszonym we *Wiadomościach Salezyańskich* (nr. 8, 1901 r.), donosiłem, że na biednych trędowatych w Santander zebrano 150,000 skudów, czyli przeszło pół miliona franków. Dziś, 18 września, wykazy przyjmujących te ofiary dzienników przyniosły wiadomość, że 205 tysięcy skudów, t. j. milion i dwadzieściapięć tysięcy franków złożono dotychczas na nieszczęśliwych mieszkańców *miast boleści.* Przy tem zwracam Najprzew. Ojca uwagę na to, że nie biorąc ani centa z tej kwoty, która została obrócona całkowicie w pożywienie, dało się przybrać wszystkich trędowatych w Agua de Dios i Contratacion w nową odzież. Rzecz prosta i łatwa na pozór, ale w rzeczywistości utrudniona wygórowaną ceną sukna i płótna, na które łożono 60,000 skudów.

Na kilka miesięcy będą mieli trędowaci czem bronić swe owrzodziałe członki przed zimnem i przed upałem, lecz to biedne ubranie nie jest stalowe i wnet się zużyje: nalegam więc na Przew. Ojca o przyspieszenie wysyłki ofiarowanego ewentualnie płótna lub sukna dla tych chorych. Z powodu wojny domowej zachodzą znaczne zwłoki, a nawet całe kwarantany na urzędach celnych; żegluga po rzecze *Magdalenie* odbywa się bardzo opieszale a podróż po górach, wśród których mieszkamy, postępuje żołwim krokiem. Do *Cartageny de las Indias*, lub do *Baraquilli,* może statek genueński zawinąć po 25 dniach żeglugi, ale z portu do nas dotrze pakunek dopiero za pięć lub sześć miesięcy.

Nie wspominam już o kosztach przesyłki, ponieważ Europejczyk nie dałby mi wiary. Wystarczy przytoczyć jeden przykład. Przed wojną przewóz stu kilogramów towaru z Houdy do Bogotà kosztował ośm lub dziesięć skudów: teraz płacimy do 400 skudów. 40 a 2000 franków — to różnica przerażająca i bolesna. Jeżeli jeszcze do tego doliczymy opłatę cła, rzeki i kolei, to otrzymujemy taką liczbę, która na seryo bajeczną i zmyśloną się wydaje. Z tego powtarzam, com już pisał w innym liście, by mi nie wysyłano odzieży słabej i zużytej.

Pod koniec wzmiankuję jeszcze o smutnem zdarzeniu, które 29 września rzuciło popłoch na spokojnych mieszkańców lazaretu w Agua de Dios. Niekarna zgraja buntowników napadła niespodzianie na ten lazaret, przetrząsła i zrabowała mieszkania chorych, zostawiając im tylko to, co mieli na sobie. Na szczeście nie były nadeszły jeszcze wysłane im z Bogotá nowe ubiory, w przeciwnym bowiem razie szkoda byłaby znacznie dotkliwsza. Co za okrucieństwo musi panować w niektórych sercach, skoro nawet miejsce goszczące 1100 trędowatych ulega spustoszeniu i profanacyi.

Proszę o błogosławieństwo dla wszystkich członków rodziny salezyańskiej, pracujących w tej Rzpltej, byśmy zawsze byli gotowi wyrzec: *Fiat voluntas Dei* (niech się dzieje wola Boża).

Całem sercem oddany *in Domino*

X. Ewazy Rabagliati.





Głos ze stolicy Kolumbii.

Wojna domowa otworzyła bramy naszego miasta różnym niebezpiecznym chorobom. Najsrożej grasuje dur, który występuje tak epidemicznie, że spędza miesięcznie setki ofiar do grobu. W ostatnich dniach przekradł się też do naszego kollegium i opanował kleryka Cezara Cesarego, który mało co, że się nie przeniósł do wieczności. Mając jeszcze w żywej pamięci, że w roku 1898 ną tę zarazę aż czterech umarło współbraci, uważaliśmy naszego brata, z ludzkiego punktu widzenia, za straconego. Ale wtenczas właśnie uciekliśmy się z całą ufnością do Najśw. Maryi Panny, Wspomożycielki Wiernych. Siostry tegoż imienia uczyniły obietnicę pielgrzymowania pieszo do kościoła poblizkiej wioski i przyjęcia komunii św. przy Jej ołtarzu; nasz zakład postanowił w razie polepszenia sie choremu złożyć się na wotywę, a ja postanowiłem ogłosić łaskę we *Wiadomościach Salezyańskich.* Po kilku dniach chory wybrnął z niebezpieczeństwa życia, czuł się coraz lepiej, wreszcie powstał z łóżka i jest zupełnie zdrowy. Całe kollegium zanuciło hymn dziękczynny Wspomożycielce Wiernych, która wspiera wszystkich, co się z wiarą do niej uciekają.

Bogotá, 12 lipca 1901.

X. Ewazy Rabagliati.

***

Marya odwraca pożogę.

W jesieni z. r. straszny pożar nawiedził nasze miasteczko i szerzył się z taką gwałtownością, iż zdawało się, że cała niewielka osada stanie się pastwą płomieni. Wtedy to, błagając Matkę Najświętszą o ratunek i odwrócenie od nas tak groźnego niebezpieczeństwa, przyrzekłam złożyć Jej za doznaną łaskę serdeczne podziękowanie we *Wiadomościach Salezyańskich.* Modlitwa została wysłuchana więc dziś z głębi serca Tej Matce Najdobrotliwszej, Królowej Nieba, składam publicznie dzięki i proszę o dalszą Jej przemożną opiekę nad nami. Cześć Jej i chwała na wieki! Na cele salezyańskie posyłam 10 koron.

Milatyn nowy (Galicya).

Stanisława Wilhelmówna.

***

Marya ratuje prześladowanych.

Będąc tamtego roku wraz z moją rodziną prześladowana w okropny sposób od wrogów, myślałam już, że zawzięci wrogowie, zmówiwszy się, zniszczą nas całkiem. W tej rozpaczy ofiarowałam się Najsłodszemu Sercu Pana Jezusa i Najśw. Maryi Pannie z prośbą o pomoc. Prawie jakby cudem zostałam wybawioną od tych uporczywych napaści i na podziękowanie upraszam o odprawienie Mszy św. i o modły dziatwy przed obrazem Najśw.

Maryi Panny. W tym celu posyłam 5 koron i nadal częściej to czynić będę.

Zrotowice (Galicya).

A. Grodek.

***

Marya przedłuża dziecięciu pasmo dni.

Cześć i chwała niech będzie Najśw. Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za wysłuchanie naszej prośby. Już siedm dziatek zabrała nam śmierć złowroga, zostawiając każde zaledwo pół roku przy życiu. I gdy nam ósme zachorowało, dowiedzieliśmy się o łaskach udzielanych za przyczyną Najśw. Maryi, Wspomożycielki, wszystkim tym, którzy szczerze i pokornie do Niej się uciekają. Udaliśmy się więc do tej Królowej niebios z całą ufnością, prosząc zarazem dziatwę salezyańską o nowennę. I oto w cudowny sposób zostało nasze dziecko uzdrowione i żyje aż dotychczas. — Prosimy ogłosić tę łaskę w *Wiadomościach Salezyańskich*, aby wszyscy wiedzieli, iż Najśw. Marya Panna nikogo nie opuszcza.

Radliu (Górny Śląsk)

Antoni i Marya Plutowie.

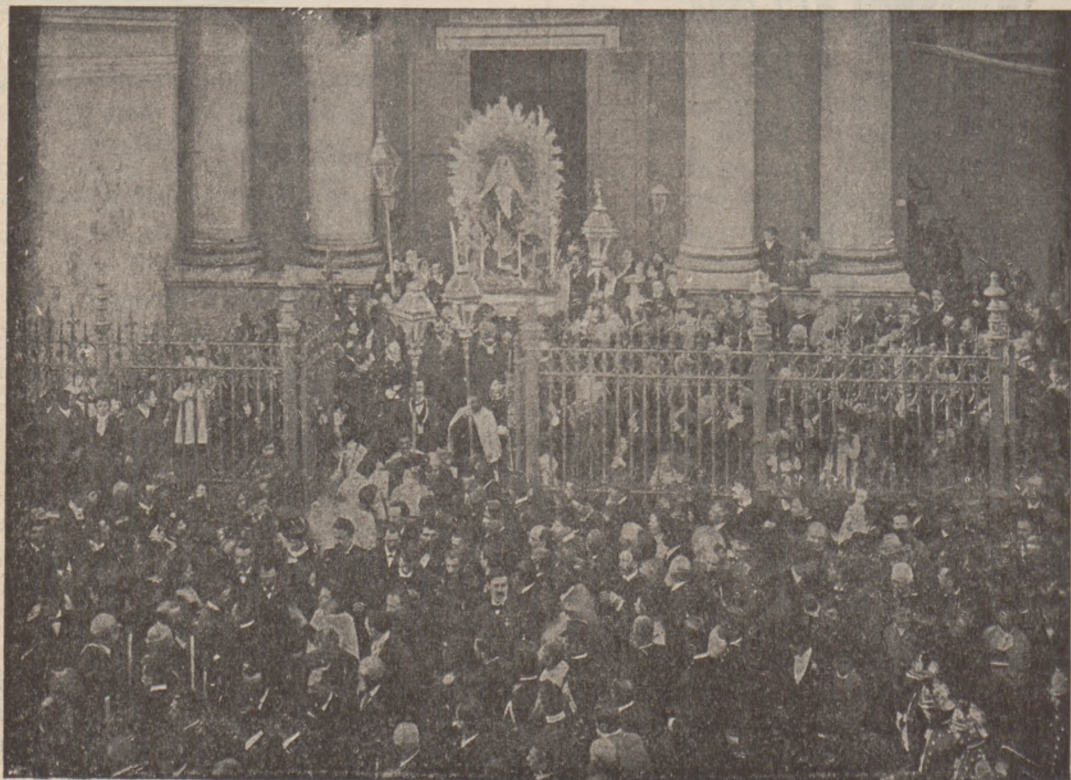
***

Marya pomaga przy egzaminach.

Przejęci wdzięcznością ku Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, i Najsłodszemu Sercu Jezusowemu za doznaną łaskę i pomoc udzieloną synowi naszemu Feliksowi przy składaniu dwóch egzaminów w z. r., które za przyczyną Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, złożył z pomyślnym wynikiem i zamianowany został c. k. kancelistą sądowym — składamy Matce Najświętszej publicznie serdeczne dzięki i upraszamy zarazem Maryę, Wspomożycielkę Wiernych, by nadal także raczyła nas wspomagać Swemi łaskami. — Z wdzięczności wielkiej posyłamy 10 koron, prosząc o Mszę św. przed Jej cudownym obrazem na podziękowanie za doznaną łaskę i pociechę.

Galicya.

Serafińscy.



Procesya w Buenos Aires.

***

Marya jest Lekarką Niebieską.

Proszę usilnie o głoszenie w *Wiadomościach Salezyańskich* publicznego i serdecznego podziękowania Matce Najśw., Wspomożycielce Wiernych, za cudowne prawie wyleczenie żony mej z bardzo strasznej choroby. Posyłam zarazem 3 marki z prośbą, aby się odprawiła Msza św. przed obrazem Matki Najśw., na podziękowanie Matce Miłosierdzia za zdrowie żony. Wierny Jej czciciel.

Junewo (Wielkie Księstwo Poznańskie).

JAN KUBICKI.

***

Jan i Franciszka Franiczkowie mieli córeczkę, która w piątym roku życia mówić jeszcze nie potrafiła. Pewnego razu była u mnie stroskana i zbolała matka i rozwodziła żale nad swem nieszczęściem. Prawie w tym czasie otrzymaliśmy *Wiadomości Salezyańskie* i wskazując jej cały szereg łask otrzymanych za przyczyną Wspomożycielki Wiernych, radziliśmy jej złożyć ofiarę na cele salezyańskie i uciec się do Królowej Niebios. Od tego czasu rozwiązał się język dziewczynki i mówi coraz lepiej. Uszczęśliwieni rodzice ofiarują dwie marki na podziękowanie.

Pszów (Górny Śląsk).

JÓZEF WOJTALA.

***

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, następujące osoby:

Józef Zieliński, Iwan Kościów i Staszków, *Dziczki* (Galicya); N. N., *Jachówka* (Galicya); M. Stachów, *Toporów* (Galicya); Marcin Brzuch, *Ulanów* (Galicya); Mateusz Krupka, *Warszowice* (Górny Śląsk); N. N. z Galicyi; Józef i Agata Jankowscy, *Pleszew* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Ignacy Pycha, *Hamme* (Westfalia); J. Pięczewski, *Schönbrück* (Prusy Zachodnie); Stanisława Hójmanowicz, *Michałków* (Galicya); Wiktorya Poloczek, *Królewska huta* (Górny Śląsk); Józef Kalinowski, *Bienhowka* (Prusy Zachodnie); Katarzyna Płonka, *Lipowiec* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Emanuel Gulba, *Szarlej* (Górny Śląsk); Marya Plachetka, *Kujawy* (Górny Śląsk); N. N., *Nakło* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Melchior i Marya Bożek, Walenty i Anna Długajczyk, Jan i Anna Spyra, *Krassów* (Górny Śląsk); Łuczkowski, *Lubasz* (Wielkie Księstwo Poznańskie); St. Łożyński, *Środa* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Andrzej Guzek, *Ulanów* (Galicya); Wanda Albert, *Bełzec* (Galicya); Marya Długosz, *Gąsiorowice* (Górny Śląsk); Paulina Wranik, *Ostrog* (Górny Śląsk); Maryanna Borucka, Pelagia Urbańska, Tekla Słomka, *Żydowo* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Filip Schwider, *Sadzawka* (Górny Śląsk); Tomasz Kaźmierczak, (Wielkie Księstwo Poznańskie); Jan Kubik, *Halle* (Westfalia): Apolinary Przedwojski, *Mielżyń* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Franciszek Zyzik, *Zawadzka* (Górny Śląsk); Rodzina Kucek, Huta Herminy (Górny Śląsk); August Brachaczek, *Lipiny* (Górny Śląsk); Jan Bernady, *Kobyle* (Galicya); Rodzina Świerzowiczowa, *Dukla* (Galicya); Józef i Agnieszka Szuwarscy, *Piła* (W. Księstwo Poznańskie); Jadwiga Żyłka, *Szarlej* (Górny Śląsk); W. H. z powiatu Strzyrów (Galicya); Maryanna Górska, *Łasin* (Prusy Zachodnie); Wojciech Nonka, *Reda* (Prusy Zachodnie); Amelia Stołołowiczówna, *Michalewice* (Galicya); M. Bobkówna, *Sierakowce* (Galicya); W. Chłodnicka, *Niebylec* (Galicya); Mel. Chmielnik, *Turka* (Galicya); Zofia Poznańska, *Kamionka* (Galicya); Antonia Galicka, *Jadłówka Tuchowska* (Galicya); B. Niestatek, *Roschwitzdorf*; Aleksandra Chmielewska, *Jarosław* (Galicya); Teodor Mykityn, *Ciemierzyńce* (Galicya); Marcin Łuczak, *Nisków* (W. Ks. Poznańskie); Antoni Stachowiak, *Nisków* (W. Ks. Poznańskie); Bronisława Nowak, *Żnin* (W. Ks. Poznańskie).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., URBANA VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya





Kronika Salezyańska

Słówko o wielostronnej działalności misyi salezyańskich. — Piętnastego grudnia 1875 r. przybyło do portu w Buenos-Aires sześciu pierwszych misyonarzy salezyańskich. Warunki, wśród których wstępowali w swój zawód apostolski, nie pozwalały z razu dobrze wróżyć o przyszłości. Wszelako już w pierwszych latach znikały wszelkie znamiona niemocy, bo księża Salezyanie zalecali się coraz większą gorliwością. I musiały ich prace nie mało wskórać, skoro dziś nietylko można się dopatrzeć licznych stacyi misyjnych i zakładów, ale na obrazie ich działalności wystają także znaczne zasługi oddane naukom przyrodniczym i fizycznym. Nie tu miejsce roztrząsać cały bezmiar pracy apostolskiej tych księży: ich listy dają o tem pobieżne i powierzchowne wyobrażenie. Warto jednak natrącić o drugim rodzaju dobrodziejstw, to jest o poparciu przez nich nauk fizycznych i przyrodniczych.

1) **Obserwatorya meteorologiczne.** — Znajomość klimatu jakiegobądź kraju jest najważniejszym punktem wyjścia badań i licznych wniosków, odnoszących się do mieszkańców i płodów ziemi. Brak tych wiadomości utrzymuje w pamięci ludu grube przesądy, stwarza często złudzenia i otwiera pole licznym błędom, które opłacać trzeba niejednem życiem i wielkimi pieniędzmi. Znajomość warunków klimatycznych pewnego kraju osiągnąć można jedynie na podstawie dostrzeżeń, na różnych punktach poczynionych, i to spostrzeżeń o objawach fizycznych w atmosferze zachodzących, o prawach ruchów atmosferycznych, o sile i kierunku wiatrów, o stanie wilgotności powietrza, o ciśnieniu atmosferycznem, o częstości i natężeniu deszczów, o elektryczności atmosfery a zwłaszcza o temperaturze średniej w roku, w zimie i lecie. Wskutek tego meteorologicznym stacyom, czyli zakładom przeznaczonym do prawidłowego badania dostrzeżeń, przyznano w ostatnich latach kapitalne znaczenie.

Sześć obserwatoryów meteorologicznych, o ile nam wiadomo, posiadają obecnie misye salezyańskie w Ameryce południowej. Pierwsze co do czasu, bo już od roku 1882 w życiu, w Villa Colon (Rzplta Uruguaj), przerosło sławą inne dawne stacye Ameryki południowej i oddało ważne przysługi mianowicie w żegludze. Na podstawie jej spostrzeżeń ogłaszany jest co miesiąc biulletyn, w którym przedstawiony jest stan elementów meteorologicznych, i karty synoptycznej, które służą do prognozy pogody na najbliższą przyszłość. Przepowiednie meteorologiczne bywają telegraficznie przesyłane do głównego urzędu pocztowego w Montevideo, skąd okręty blizko brzegów się znajdujące bywają na kilkadziesiąt godzin z góry o nadejściu burzy ostrzegane. Żaden statek w porcie nie podnosi kotwicy bez zasięgnienia zdania w Villa Colon. Niedawno jej dyrektor odkrył peryodyczną burzę, od której będą odtąd uwolnione setki okrętów.

Na drodze rozwoju stoi też obserwatoryum meteorologiczne w Arequipa (Rzplta Perù), o którem pisaliśmy w numerze XII, r. 1901. W Patagonii salezyańskie stacye meteorologiczne stanowią szeroką sieć i posiadają dobre przyrządy, jak n. p. barometry (przeważnie Fortins), pluwiometry, termometry, anemometry, hygrometry, ozonometry, psikrometry (August), barografy, termografy, igrografy, anemografy i t. d. Cenne *Obsertiones meteorologicas*, które puściły w obieg stacye w Puntarenas (nad Cieśniną Magellana), na wyspach Falklandzkich, w Patagones, dowodzą, że te stacye doszły do wielkiego rozwoju. Żal tylko, że powódź zniszczyła obserwatoryum we Viedmie, bo i temu musielibyśmy obecnie przyznać wielkie zasługi.

2) **Wiadomości geograficzne.** — Pomijam owe sprawozdania i listy misyonarzy, które tak bogate

zawierają przyczynki do ziemiopistwa. Zastanowię się jedynie nad dziełem, któremu przyklaskiwał z. r. cały świat geograficzny niemiecki i włoski, nad *Patagonia* ks. Lina Carabajal, Salezyanina. Autor był przez dłuższy czas dyrektorem obserwatoryum w Patagones, obiegł całą Patagonię, zwiedził miejsca, które były widownią faktów historycznych, szperał po wszystkich muzeach i kronikach, wsłuchiwał się w podania indyańskie i wreszcie wydał pięć tomów o Patagonii. Rodem Argentyńczyk, pisał swe dzieło po hiszpańsku; potem przełożył takowe na język włoski. O jakości tej pracy czytano w poważnych pismach nader podchlebne sądy. N.p. rzymska *Civiltà Cattolica* (zeszyt 1224) tak się o niej wyraża:

,,Pieciotomowa *Patagonia* zacnego Carbajal jest owocem apostolskich wywiadów, poczynionych przez misyonarzy salezyańskich, i nosi charakterystykę ściśle naukowę. Nadto mając wzgląd na nieliczne pisma wydane dotychczas o Patagonii, stwierdzamy, iż dzieło Carbajala jest najobszerniejszem, najdokładniejszem i z wszystkich najwięcej pociągającem. Co dziś o tej zapomnianej ziemi powiedzieć można, to znajdujemy w jego pracy. Pierwszy tom jest poświęcony historyi, opisowi kraju i ludoznawstwu. Drugi zajmuje się klimatologią i historyą naturalną. Trzeci ekonomią polityczną, drogami komunikacyi, źródłami dochodów i bogactwa. Czwarty ustrojem politycznym, kolonizacyą, oświatą i poziomem społecznej cywilizacyi. Wreszcie piąty omawia w szczególniejszy sposób początki i rozwój misyi salezyańskich w owych krajach. Z samych nagłówków można wyprowadzić wniosek, jak ważne i obszerne musi być to dzieło. Nie godzi się atoli pominąć uwagi, że mimo cechy ściśle naukowej, dzieło to nie jest bynajmniej jałowe i nudne do czytania. Jego drobiazgowość i liczne karty statystyczne przypadną do smaku uczony; ogółowi znowu spodoba się owa rozmaitość nowin, opis zwyczajów i trafność uwag.

Pięknie są pisane te tomy, szczególnie kiedy malują wielkie podróże po Kordylierach, szerokie rzeki, bystre ruczaje, florę i faunę. Wabią też niemało ciekawe zwyczaje Patagończyków w obchodach urodzin, ślubu i śmierci. Zajmują czytelnika ich mało okrzesane współżycie, ich ulubiony *mate* (herbata), charakterystyczne, niemal koczownicze życie *Gaucha*, który jest poetą, wojownikiem, myśliwym, a niekiedy i okrutnym zbójem. — Dzieło zacnego Carbajala sławi jego samego i okrywa nowym blaskiem Zgromadzenie Salezyańskie.“

3) Przyczynki do filologii powszechnej. — W numerze lutowym wspomnieliśmy już o słowniku fuegińsko-hiszpańskim księdza Beauvoir. Ks. Milanesio wydał małą gramatykę porównawczą języków araukańskich i patagońskich, dla użytku misyonarzy i filologów. Dzieło to zjednało autorowi w Argentynie i Patagonii wielką wziętość i zostało przez rząd nagrodzone pieniężnem wsparciem salezyańskich zakładów. — Inne prace w tym kierunku, jak nam doniesiono, już dojrzewają.

4) Muzea przyrodnicze. — Kraje, w których ręka cywilizowana nie przerzuciło, w celach ekonomicznych, każdego ziarnka piasku, gdzie istnieją dziewicze lasy, a głąb ziemi nie została okradziona z swych bogactw, takie kraje mogą dostarczyć licznego materyału do bardzo ważnych i cennych zbiorów. Patagonia obfituje szczególnie w pomniki etnografii, paleontografii i archeologii indyańskiej. Liczne szkielety i czaszki Indyan mogłyby się złożyć na ciekawy zbiór antropologiczny. Odkryto, że w Patagonii są pozostałości wielkich zwierząt ssących Ameryki południowej, należących do okresu cenozoicznego czyli trzeciorzędowego. Te resztki utworzyłyby drogi zbiór paleontologiczny. Nie mniej wartościowe byłyby zbiory botaniczne i zoologiczne, w których napewno ujrzelibyśmy niespodziewane nowości.

Czy kiedy misyonarze salezyańscy wpadli na myśl, by przystąpić do tej pracy? Mnożące się po amerykańskich domach salezyańskich zbiory i muzea dają nam prawo twierdzić, że nasi księża są do tej pracy nadzwyczaj pochopni. Pod opieką J. Ekscel. ks. biskupa Cagliero założono muzeum na wielką skalę, w jego pałacu biskupim w Viedmie. Podobno najbogatszym w południowej Ameryce zbiorem tęgopokryw, minerałów, skamieniałości, zwierząt przedpotopowych i innych przedmiotów bardzo cennych, znajduje się w kollegium Piusa IX w Villa Colon. Zakład w Puntarenas posiada muzeum, którego nie ustąpiłby za kilkadziesiąt tysięcy franków. Ale zbiorem najbogatszym w rozmaite przedmioty geologiczne, etnologiczne, botaniczne i zoologiczne, istnieje w naszem seminaryum misyjnem w Valsalice pod Turynem, dokąd spływają z Ameryki najważniejsze okazy przyrody i przeszłości.

Z Wspomnień misyonarza. — ,,Naszedł rok 1886. Sława misyonarzy salezyańskich, pracujących w Patagonii, była się już szeroko po świecie rozeszła. W umysły cywilizowane dawno wniknęło przekonanie, że Salezyanie przetwarzają dzikie wnętrze kraju; zaś nieufni Indyanie to mieli za dobre, że księża kładą zapory ich tępieniu. Kacyk Sayuhueque wyprawił swego syna do ks. biskupa Cagliero z prośbą o misyonarzy dla swego szczepu i dla szczepu Yancuche, które się składały z przeszło z 2500 Indyan. Ks. biskup skłonił się do przyjęcia prośby i 12 listopada, z ks. Milanesio, ks. Panaro, ks. Zanchetta i 30 końmi rozpoczął siedmiomiesięczną podróż.

Ciekawi poznać bliżej kraj, jeździliśmy z miejsca na miejsce. Zbytecznie mówić, że każdy odłam

Indyan stanowił dla nas pokusę nie do przezwyciężenia. Jest to jakby w naturze rzeczy, że kto raz zasmakował życia misyonarskiego, z laty spoważnieje wiekiem, ale staje się tak żądnym chwały Bożej, że nigdy jego serce nie jest zaspokojone. Kapłan wyrobi się na giętkiego jeźdźca, którego pali żądza dzikości i puszczy, nie dlatego że dzikie, ale dlatego, że napróżno oblane Krwią Chrystusową. Misyonarz marzy nie o laurach, ale o lasach nietkniętych białą stopą, w których niedołężnieją i marnują się dusze stworzone do poznania i miłowania Boga. Misyonarz nie dopiął swego, nie sprostał swemu zadaniu, dopóki nie wtargnął do ostatniej kryjówki Indyan. Więc tuła się w puszczach, więc żąda od siebie poświęcenia, więc pasuje się z naporem wezbranej rzeki, ze suszą stepów i ze stromością niebotycznych gór.

Trzeciego marca 1887 r. wdzieraliśmy się na górę Sierra Mala Cohnello (w Kordylierach). Czy w ks. biskupie odzywały się jakie złe przeczucia? Czy widział czarno przed sobą? Prawdopodobna, bo nalegał, by mi dobrze osiodłano wierzchowca. Ujechaliśmy ledwo dwie mile, gdy na koniu ks. biskupa przerwał się podbrzuszny rzemień, który podtrzymywał siodło. W tej chwili koń zaczyna się niepokoić, skakać, stawać dęba i wierzgać tak gwałtownie, że rozwiązał pod ks. Biskupem całą kulbakę i zrzucił ją z siebie. Wtenczas puścił się z kopyta, toczył po urwistej spadzistości góry, skakał przez głębokie przepaści, ostre głazy i cierniste kępy, pędząc po samej krawędzi niezgłębionych otchłani. To nam się pokazywał, to znowu nikł, to pogrążał się w krzewach, to krył się między skałami, wśród wszelkiego rodzaju niebezpieczeństw.

Pomimo to, najukochańszy ks. biskup nie tracił zimnej krwi i rozwagi, a uczepiwszy się silnie grzywy niewstrzymanego konia, wzywał całem sercem pomocy Nieba. Tymczasem rozbrykane zwierzę biegło na oślep, już pędząc z góry na dół, już kołując z niewidzianą prędkością, aż wpadło na przestrzeń, gdzie mniej sterczało ostrych głazów i twardych brył kamiennych. Tam ks. biskup zeskoczył z konia i runął na ziemię, łamiąc sobie kilka żebr. Mawiał potem: „Rzuciłem się z wierzchowca, bom spostrzegł, iż tenże biegł niepohamowanie ku bezdennej otchłani, której ściany najeżone były ogromnemi i ostremi skałami". I w samej rzeczy po kilku minutach rozległ się głuchy odgłos konia, rozbijącego się o dno przepaści. Podobny los byłby spotkał ks. biskupa: rozbity i zdruzgotany byłby mieszał krew swoją z posoką rozszalałego zwierzęcia!

W jednej chwili nadbiegliśmy ku niemu. Twarz i całe ciało było pokryte pyłem i zbroczone krwią. Wstrząśliśmy go i wołali, ale on nie czuł, nie słyszał, nie mowił, nie dawał znaku życia: jego chwile zdały się być policzone. Dopiero po dwóch godzinach poruszyły mu się piersi do oddechu, ocknął z letargu, oglądnął się dokoła, by sobie zdać sprawę ze swego położenia, i rzekł: „To nic! to nic . . . rzecz małej wagi!" A zwróciwszy się do ks. Milanesio, który zalewał się łzami, rzekł: „Czemu płaczesz, drogi Milanesio? Czemu wszyscy płaczecie? Nie smućcie się: stan mój nie jest najgorszy. Nie bądźcie dziećmi! Cóż znowu? Tyle mam żebr, a zdaję mi się, że tylko dwa sobie złamałem. To mi dopiero wiele! Jedno żebro lub dwa o człowieku nie stanowią. Odwagi, drodzy synowie. I to minie. Cieszcie się i dziękujcie p. Bogu za moje ocalenie".

Potem utkwiwszy wzrokiem w niebie i podniósłszy nieco głos, rzekł: „Pan Bóg tego chciał, błogosławmy zawsze Jego Wolę Najświętszą. Mój Boże i mój Panie, spadłem dla Twej chwały i za dusze twą Przenajświętszą Krwią odkupione. Ofiaruję wszystko na cześć i służbę Twoją i na korzyść duchowną tych ludności, których pośród tylu niebezpieczeństw szukać przyszedłem".

Ponieważ ani ruszyć się nie mógł, usłano mu na prędce łóżko z naszych siodeł i czekaliśmy na lekarza Łukasza Becerrę, po którego się zaraz było posłało, a u którego byliśmy poprzedniej nocy gościli. Wiadomość o nieszczęściu wywarła na poczciwym medyku tak silne wrażenie, że niezwłocznie z ośmiu towarzyszami na miejsce katastrofy podążył. Gdy zobacył ks. biskupa rozciągniętego na ziemi, w otoczeniu księży tonących we łzach, rozczulił się do tego stopnia, że nie zdołał powstrzymać się od płaczu. Ale ks. biskup koił jego boleść, mówiąc miedzy innemi rzeczami: „Proszę mi tylko dobrego kowala przywołać, by mi żebra naprawił".

Było to o godzinie ósmej rano. Na południowym wschodzie zajaśniało słońce. Promienie ogrzywały zimne, nagie skały, na których niemasz ani trawki, ani mchu, ani kropelki rosy. Księdza biskupa paliło pragnienie, ale wodę ledwo w odległości dwu mil znaleziono, a cień, w którym złożony został skrwawiony dostojnik Kościoła, rzucały dwa ogromne, dzikie głazy granitowe. Tam zbadano chorego. Dwa żebra w lewym boku były złamane, a ich końce, przebiwszy ciało, dostały się do klatki piersiowej i naruszyły lewe płuco. Było też ciężko obrażone lewe udo aż do kolana. Twarz nosiła wiele drobnych ran. Ponieważ nie było nietylko żadnych leków, ale nawet wody, omyto go i opatrzono winem, które miało służyć do Mszy św., a obwinięto bandażami z płótna, któreśmy z sobą przypadkowo wieźli.

Dziwny wypadek. Było to pierwsze nieszczęście, które spotkało nasze misye. Była to pierwsza krew salezyańska, przelana za okupienie religijne Patagonii, a ta pierwsza krew ciekła z żył biskupa. Biskup, dostojnik Kościoła, broczył swą krwią Kordyliery! Zdarzenie to zapisał skwapli-

wie historyk amerykański do księgi swych dziejów, bo pierw nigdy o podobnym fakcie w Ameryce nie słyszano.

Wprawdzie kupcy, mulnicy, żołnierze, badacze przyrody i ludzie zamiłowani w naukach narażają się na podobne i większe niebezpieczeństwa, ale do tego ich wiedzie zysk, chwała, rzadko pragnienie wynalazku, odkrycia, wiedzy, nigdy cel tak wzniosły, jak głoszenie wiary i królewstwa niebieskiego.

Kiedy ks. biskupa opatrzono, tak iż doznał trochę ulgi, posadziliśmy go na koń i przewieźli wśród najsroższych bolów na brzeg rzeki Neuquen, gdzie go złożono na sitowem łożu, w resztkach jakiejś dawnej lepianki. Tu go znów przewinięto i po długiej, groźnej mdłości wsadzono na koń. Przeprawa przez rzekę sprawiła mu nowe bóle, a dalsza podróż po urwiskach górskich i nad przepaściami krwawiła mu serce wspomnieniem upadku.

Noc zaskoczyła nas w parowie, na dnie którego sączy się woda rzeki Nehueve. Księżyc jasno



Inauguracya *Obserwatoryum Meteorologicznego* w Cuyabá.

świecił w chwili, gdy koń ks. biskupa wstępował do wody. Ale koryto rzeki wysłane ostrymi kamieniami i tworzące tu i owdzie niebezpieczne głębiny, o włos nie spowodowało straszniejszej jeszcze katastrofy. Ks. biskup znosił cierpliwie gwałtowne szamotania i dodawał nam otuchy. Wreszcie o północy byliśmy w domu lekarza, gdzie nasz ks. biskup był najtroskliwiej pielęgnowany przez cztery tygodnie. Sąsiedzi i Indyanie często swego biskupa odwiedzali i dzielili jego boleści.

12 marca J. Ekscellencya już powstał z łóżka, a 13 t. m. udzielił dwudziestu osobom sakramentu bierzmowania. 28 marca, o godzinie ósmej rano, a więc w 25 dni po strasznym upadku, udawał się z ks. Rabagliatim do Chile . . . przez Kordyliery".

Uroczystość św. Franciszka Salezego w Oświęcimiu. — Z życzliwych nam kół otrzymujemy następujące pismo: „Dnia 2 lutego odprawili księża Salezyanie w Oświęcimiu uroczystość św. Franciszka Salezego, patrona ich Zgromadzenia. Przypada ono właściwie 29 stycznia, ale Kościół św., prawdziwa Matka dla synów ś. p. ks. Jana Bosko, zezwolił, aby rzeczone święto przenieść wedle dogodności na niedzielę. — Korzystając z tego przywileju, odłożyli je księża Salezyanie oświęcimscy na następującą niedzielę, aby w ten sposób więcej ludu mogło się nagromadzić i wzywać wraz z nimi możnej opieki św. Franciszka. Piękny był to zbieg okoliczności, gdyż w tę samą niedzielę przypadało święto Matki Boskiej Gromnicznej, do Której to św. Franciszek Salezy pałał szczególnem nabożeństwem, oddając już od lat młodzieńczych całego siebie pod Jej płaszcz macierzyński; również synowie ks. Bosko, idąc w ślady Salezego stali się dzielnymi krzewicielami czci ku Matce Boskiej pod wezwaniem **Wspomożycielki Wiernych.**

„Już kilka dni przed tem w cennym naszym dzienniku *Katoliku* zaprosili pomocników, którzy, jak oni mówią, tworzą wielką rodzinę salezyańską, aby raczyli wziąć udział w tej uroczystości. Na ich wezwanie w rzeczonym dniu, pomimo niepogody i zawieruchy, która już od wczesnego ranka poczęła świstać i wszystkich tych, którzy się na dworze ukazali, siec zapalczywie po twarzy — liczna rzesza ludu wiedziona pobożnością przybyła do Oświęcimia. Kaplica św. Jacka była ślicznie przyozdobiona a nad ołtarzem unosił się obraz św. Franciszka Salezego.

„O $9^1/_2$ wychowańcy zakładu ks. Bosko wraz z swymi przełożonymi udali się na sumę do kościoła parafialnego. Po poświęceniu gromnic wyszedł Przew. ks. Dyrektor zakładu z Mszą św., a chór wychowanków salezyańskich, składający się z czterdziestu śpiewaków, odśpiewał nader zadawalniająco Mszę Melluzziego na dwa głosy. Chwalebnie popisały się „solo“, a przedewszystkiem mile łechtał ucho nasze wdzięczny, delikatny a silny głos soprana. Ciche zaś a płynące wtorowanie organów przez zacnego organistę parafii oświęcimskiej, p. Świderskiego, zdawało się niejako słodkiem echem, które rozlewa się po gajach i wabi zaciekawionego przybysza. Kazanie wygłosił jeden z Wiel. księży Wikaryuszów.

„Po nabożeństwie, które zakończyło się udzieleniem błogosławieństwa Przenajświętszym, wychodziliśmy wszyscy z radością i zadowoleniem, spoglądając z upodobaniem na długi szereg wracających wychowanków zakładu ks. Bosko, którzy przed chwilą pokazali z jaką troskliwością zajmują się nimi synowie dzielnego Apostoła młodzieży, ćwicząc ich we wszystkich zdolnościach, na jakie mogą się te młodzieńcze umysły i serca zdobyć.

„Czwartego lutego odprawiła się uroczyście w kaplicy św. Jacka Msza św. żałobna za zmarłych pomocników.

„Pełni słodkich wspomnień z tych uroczystości życzymy z całego serca księżom Salezyanom, aby ich dzieło rozrastało się jako owo drzewo Pisma św., iżby swymi konarami okryło całą naszą ojczyznę a młodzież nasza, jak owe ptaszęta, mogła spocząć swobodnie i bezpiecznie na jego gałęziach, żywiąc się owocami prawdziwej i zdrowej nauki, której księża Salezyanie za przykładem św. Franciszka Salezego i ich założyciela z tak pomyślnym rezultatem tej delikatnej cząstce społeczeństwa udzielają.“

Jeżeli kiedyś zostanę księdzem, to całe moje życie poświęcę dla młodzieży. Będę chłopców koło siebie gromadził, będę ich miłował, oni mnie również pokochają, będę ich zachęcał do dobrego i oddam się im cały na usługi, byle tylko przyczynić się do ich zbawienia.

Przyjdzie czas, kiedy być dobrym katolikiem a Pomocnikiem salezyańskim będzie znaczyło jedno i tosamo.

Niech Pan Bóg błogosławi i wynagrodzi wszystkich naszych dobroczyńców.

X. Jan Bosko.



DROGI OPATRZNOŚCI BOSKIEJ.

Ileż to przeróżnych faktów dałoby się opowiedzieć, chcąc wyliczyć tysiączne zdarzenia, w których ks. Bosko w sposób najmniej spodziewany a nieraz i najdziwaczniejszy odbierał oznaczoną sumę, której potrzebował, i to nie raz w dniu i godzinie oznaczonej, jak gdyby zarząd nad jego interesami został powierzony najpunktualniejszemu kasyerowi.

Wybieram pierwsze lepsze fakta.

Turyńskie Oratoryum winne było 30,000 franków jakiemuś przedsiębiorcy, który niezadowolony ze zwłoki, zaczynał się na dobre gniewać. Pewnego rana przychodzi do Oratoryum mocno podniecony i przygotowany na zrobienie awantury. Zwraca się do prefekta i oświadcza, że nie odejdzie, nie odebrawszy należnej mu sumy.

Prefekt przyznaje, że nie ma szeląga w kasie. „To nie może tak być“, woła przedsiębiorca podniesionym głosem, „chcę pomówić z ks. Bosko“. Wprowadzono go do pokoju, gdzie pewna liczba osób czekała swojej kolei posłuchania. Siada w złym humorze, narzekając bardzo głośno.

Na to wchodzi jakiś pan o stanowczych ruchach, wyrażający się krótko i zdający się być bardzy zniecierpliwiony.

— Chcę mówić natychmiast z ks. Bosko.

— Zechciej pan usiąść i poczekać chwilkę, aż kolej nadejdzie.

— Nie mam czasu czekać.

I nie zważając na nic, rusza wprost do drzwi i puka do pokoju, w którym ks. Bosko konferuje z kimś innym. Ks. Bosko otwiera i pyta nieco zdziwiony:

— Czego sobie życzysz mój przyjacielu?

— Chcę mówić z Ojcem.

— Jak przyjdzie kolej na pana, jeśli łaska; nie mogę pana przyjąć przed wszystkiemi temi osobami, które tu są oddawna.

— Pilno mi, a to, co mam Ojcu powiedzieć, nie jest długie.

Wobec takiego nalegania, ks. Bosko pyta obecnych, czy zgodzą się na ustąpienie kolei temu jegomości, który, nie czekając na odpowiedź, wkracza śmiało do gabinetu. Ton stanowczy, nawet szorstki, niepokoił nieco ks. Bosko, który rzekł jednak uprzejmie:

— Proszę usiąść.

— Ja nie chcę siadać.

— To powiedz mi pan nakoniec, co cię tu sprowadza.

— Nic wielkiego; potrzebuję na to pół minuty. Czy zechcesz, Ojciec przyjąć to? (I kładzie małą paczkę na stole). Żegnam cie, Ojcze, módl się za mnie.

I wyszedł. Przybiega na to Wicehrabina V.

— Nic ci się, Ojcze, złego nie zdarzyło? Ten człowiek napełniał mnie strachem. Istotnie miał tak szczególną powierzchowość, iż byłam przekonana, że Ojcu co złego zrobił.

— W każdym razie niewielkie złe, odpowiedział z uśmiechem ks. Bosko. Oto co mi doręczył.

I rozwija mały pakiecik, w którym znajduje trzydzieści biletów bankowych po tysiąc franków. Gdy kolej przyszła na przedsiębiorcę, ks. Bosko oddaje mu 30,000 franków. Zmięszany swoją poprzednią natrętnością biedny przedsiębiorca przepraszał kapłana jak najpokorniej.

— Mówiono mi, Ojcze, że nie jesteś w stanie mi wypłacić; bardzo źle postępiono, zapewniając mię, że tak jest w istocie.

* * *

Innym razem Oratoryum miało do zapłacenia 325 franków podatku. Nadszedł ostatni termin wypłaty, a w dniu tym w południe mała ta sumka nie była jeszcze wypłacona; poborca miał przystąpić do ściągnięcia jej za pomocą tradowania. Ks. Rua szpera w kasie — ani szeląga; — ani szeląga w całym zakładzie. Idzie tedy do pokoju ks. Bosko i przekłada mu swój kłopot, pytając zarazem czy nie ma przypadkiem tej kwoty.

— Nic mam nic, odpowiada ks. Bosko, módlmy się do Matki Boskiej Wspomożycielki.

Po modlitwie wraca najspokojniej do swojej pracy. W chwilę potem ktoś stuka do drzwi i jakiś jegomość pragnie mówić z ks. Bosko. Wprowadzony rozpoczyna rozmowę, po której dodaje:

— Mój Ojcze, nie jestem bogaty, ale mam przy sobie małą sumkę, którą zebrałem dla waszych dzieci. Czy nie zechcesz przyjąć mojej skromnej ofiary?

— Bardzo chętnie, odpowiada ks. Bosko.

Jegomość doręcza kopertę zawierającą najściślej 325 franków. Ks. Bosko się uśmiechnął i rzekł:

— Zechciej pan łaskawie doręczyć to, odchodząc, księdzu Rua.

Ten przyjmuje kwotę i naiwnie powiada:

— Ks. Bosko doskonale przeliczył, właśnie tyle winni jesteśmy.

Natychmiast tedy wyprawiono posłańca do biura poborcy podatków. Nieszczęściem było już po dwunastej i nakaz tradowania został już wysłany. Odszukano jednak woźnego, który przypadkiem się opóźnił, i zapłacono podatek bez kosztów egzekucyjnych.

* * *

Pewnego dnia ks. Bosko znajdował się w nadzwyczaj bolesnem położeniu: ogromny jakiś rachunek należało wyrównać u piekarza, który groził odmówieniem dostawy. W tem położeniu zjawia się hr. R. d'Agliano.

— Mój Ojcze, moja żona jest ciężko chora; każ modlić się za nią.

I doręcza mu kwotę wyrównywującą połowie należnej piekarzowi sumy. Dzieci uklękły natychmiast, aby z całym zapałem odmówić stosowne do położenia modlitwy. W trzy dni potem hrabia powraca z doniesieniem, że jego żona wyzdrowiała, i przynosi taką samą kwotę, jak pierwszym razem. Tak więc rachunek piekarza mógł być całkowicie wyrównany, co też wykonano, i można sobie wyobrazić, jak gorąco podziękowano Matce Boskiej, Wspomożycielce Wiernych.

* * *

W marcu 1880 r., ks. Bosko przybył na ośm dni do Nizzy. Przy tej sposobności pan Ernest Harvel uraczył wszystkie dzieci Przytuliska im. św. Piotra dobrym obiadem, na który zaproszono wielu Pomocników salezyańskich. Na chwilę przed ucztą p. Michel, adwokat, znany ze swej gorliwości dla dobroczynnych zakładów, rozmawiał z księdzem Bosko, który mu w ciągu rozmowy powiedział:

— Nasza kaplica jest za mała i niestosowna; potrzebaby przecież dać naszemu Zbawicielowi odpowiedniejsze pomieszkanie. Oto projekt doręczony przez naszego kochanego architekta p. Levrot; kosztorys wynosi 30,000 franków.

— 30,000 franków! Wątpię bardzo, mój Ojcze, abyś mógł je zebrać w tej chwili w Nizzy. Mieliśmy tej zimy tyle nabożeństw z kwestą, tyle loteryi, tyle składek wszelkiego rodzaju, że kieszenie są bardzo puste.

— Jednak muszę mieć dziś jeszcze tę kwotę.

Wtem bije dwunasta godzina: wszyscy usiedli do stołu. Przy toastach wstał notaryusz p. Sajetto i rzekł:

— Uwiadamiam cię, Ojcze, że pewna dobroczynna osoba złożyła u mnie dzisiaj, z poleceniem doręczenia ci, 30,000 franków. Może je Ksiądz Dobrodziej podjąć, kiedy zechce.

— Niech będzie pochwalona Najśw. Matka, Wspomożycielka! zawołał ks. Bosko, podnosząc ręce i oczy do nieba. — Już jest początek.

Adwokat z najwyższem zdumieniem wysłuchał wiadomości o złożeniu sumy takiej właśnie, jakiej przed chwilą żądał ks. Bosko.

* * *

W jednej z ostatnich konferencyi w Lugdunie sam ks. Bosko opowiadał, że pewnego dnia miał wypłacić o 5 tej godzinie 15,000 franków przedsiębiorcy za roboty w kościele Serca Jezusowego w Rzymie. O wpół do piątej nie miał jeszcze ani szeląga, gdy nadszedł pewien duchowny, który mu przyniósł potrzebną właśnie kwotę i to w okolicznościach rzeczywiście dziwnych. Ów duchowny nie miał wcale tego dnia przyjechać; potem wskutek nieporozumienia, znalazł się na dworcu

kolejowym i prawie wbrew swej woli, wsiadł do wagonu.

***

Było to 16 listopada 1866 r., gdy kościół Najśw. Matki Wspomożycielki w Turynie jeszcze się budował. Tegoż samego wieczora ks. Bosko miał zapłacić 4000 franków przedsiębiorcom, którzy pracowali nad kopułą, a nie posiadał ani jednego franka. Od samego rana ks. Rua i kilku jego współpracowników rozpoczęli starania. Bóg wie, ile schodów i ulic przebiegli, aby o jedenastej wrócić z tysiacem franków. To było wszystko, co mogli znaleść. Gdy z przerażenia patrzeli się jeden na drugiego, nie mogąc słowa wymówić, ks. Bosko, uśmiechając się, rzekł:

— Po obiedzie resztę wyszukam.

Po południu wychodzi istotnie, licząc na szczególną łaskę Opatrzności. Szedł na los szczęścia i znalazł się u Porta Nuova. Tam zatrzymał się, nie wiedząc, którędyby mu iść wypadało. W tej chwili zaczepia go służący w liberyi.

— Czy ksiądz dobrodziej jest Don Bosko?

— Jestem nim, w czem mogę służyć?

— Mój pan prosi księdza natychmiast do siebie.

— Spieszmy do niego, a czy to daleko?

— Nie, mieszka na końcu ulicy (i wskazuje wspaniały pałac).

— Czy ten pałac do niego należy.

— A rozumie się. Mój pan niezmiernie bogaty, mógłby się czem przyczynić do wybudowania waszego kościoła.

Wchodzą do bardzo pięknego pokoju, w którym leży mężczyzna w pewnym wieku, i wydaje się być bardzo ucieszonym na widok ks. Bosko.

— Mój wielebny Ojcze, bardzo potrzebuję twoich modłów; powinieneś mnie postawić na nogi.

— Czyś pan od dawna chory?

— Od trzech lat nie porzuciłem tego łóżka boleści; nie mogę się ruszyć, a lekarze nie robią mi żadnej nadziei. Gdybym najmniejszej ulgi doznał, zrobiłbym coś dla was.

— Doskonale się to składa: dzisiaj właśnie potrzebujemy 3000 franków na nasz kościół Najśw. Maryi P. Wspomożycielki.

— 3000 franków? Co też ksiądz dobrodziej mówisz! Żeby to kilka set franków, to jeszcze, ale 3000 franków!

— Czy to za dużo? rzekł ks. Bosko; w takim razie nie mówmy już o tem.

I siadając, zaczyna najobojętniej rozmawiać o polityce.

— Ależ, mój Ojcze, mnie to mało obchodzi; a moje uzdrowienie?

— Uzdrowienie pańskie? wskazuję panu środek, którego pan nie chce.

— Ale 3000 franków!

— Nie nalegam.

I znowu mówi o ekonomii społecznej.

— Nareszcie niech ks. dobrodziej wyprosi mi trochę ulgi w moich cierpieniach, a na pewno, nie zapomnę o was przy końcu roku.

— Przy końcu roku? Ale widocznie Pan nie rozumie, że my tej sumy dzisiaj wieczór potrzebujemy.

— Dzisiaj wieczór! ks. dobrodziej dobrze wie, że takiej sumy nie ma się w domu; trzeba jechać do banku, wymaga to pewnych formalności.

— I dlaczego pan nie miałbyś pojechać do banku?

— Żartuje chyba ksiądz zemnie; od trzech lat nie ruszyłem się z łóżka; jest to niemożebne.

— Nic nie ma niemożebnego dla Pana Boga i Najświętszej Matki Wspomożycielki.

Mówiąc to, ks. Bosko zbiera w pokoju wszystkie domowe osoby w liczbie trzydziestu. Daje im modlitwę do Przenajświętszego Sakramentu i Wspomożycielki Wiernych, którą z nimi razem odmawia. Po jej skończeniu każe przynieść choremu odzienie.

— Odzienie! Ale pan go nie ma. Od trzech lat się nie ubierał, nie wiemy, gdzie jest.

— Natychmiast pójść je kupić, woła zniecierpliwiony chory; róbcie, co wam ksiądz dobrodziej każe.

Podczas tej sceny wchodzi lekarz, który chce się sprzeciwić temu, co nazywa widocznem szaleństwem. Ale znaleziono ubranie; chory je włożył, i dużymi krokami przechadzał się po pokoju ku wielkiemu zdumieniu obecnych. Kazał zaprzęgać a tymczasem posilał się, jedząc z niebywałym apetytem; ożywiony schodzi ze schodów bez żadnej pomocy i wsiada do powozu. W kilka chwil przywiózł księdzu Bosko 3000 franków.

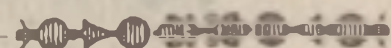
— Jestem zupełnie wyleczony, powtarzał ciągle.

— Pan wyciągnęłeś swoje pieniądze z banku, a Matka Wspomożycielka pana z łóżka, rzekł mu ks. Bosko.

Ten człowiek został jednym z dobrodziejów Zgromadzenia i wiele się przyczynił do zbudowania kościoła Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych, w Turynie.

***

O dobra, o boska Opatrzności, jakże niepojęte są twe drogi! Przeczą istnieniu nadnaturalnych czynników, a one są wszędzie, w nas i wkoło nas, otaczają nas ze wszech stron. Niestety! nasze oczy wlepione w ziemię nie chcą się podnieść w górę, aby ujrzeć światło i uwierzyć w pieczołowitość Opatrzności.



Na jakie niebezpieczeństwa moralne narażoną bywa nasza emigracya w Stanach Zjednoczonych.

Jeżeli państwo nie może wszystkim swoim obywatelom dać pracy i zarobku, aby mogli zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby życia, i wielu z nich wśród obcych musi szukać kawałka chleba, w takim razie obowiązkiem jego jest dać biednym wychodźcom pomoc i opiekę, aby nie byli narażeni na liczne wyzyski i oszustwa ze strony agentów. Niestety! może żadna inna emigracya do Ameryki nie była i nie jest tak wyzyskiwaną i narażoną na najrozmaitsze oszustwa ze strony agentów, jak polska. W tym kierunku więc państwo powinno rozwinąć jak najenergiczniejszą akcyę, bo ono jedynie może temu zaradzić skutecznie. Ale oprócz nadużyć czysto finansowej natury, narażeni bywają nasi wychodźcy w pogoni za chlebem na liczne, stokroć gorsze niebezpieczeństwa moralne, na które pragniemy zwrócić uwagę czytelników.

Już sama podróż przez ocean nastręcza bardzo wiele okazyi do upadków moralnych. Linie okrętowe, które przewożą naszych emigrantów są w ręku towarzystw żydowsko-masońskich. Właściciele nie poczytują sobie za obowiązek, aby na okrętach usunąć wszystko to, co stoi w sprzeczności z chrześcijańską moralnością. Jeżeli w klasach kajutowych, gdzie są osobne przedziały dla mężczyzn a osobne dla kobiet, gdzie więcej doborowe znajduje się towarzystwo, trafiają się często ekscesa nie licujące z przyzwoitością — to cóż dziać się musi w międzypokładzie (Zwischendeck), gdzie żadnych nie ma przedziałów, gdzie podróżnych mieszczą obok siebie bez różnicy płci według liczby karty okrętowej, gdzie znajdują się indywidua, które pod względem moralności i przyzwoitości nie mają nic do stracenia? Jeden z księży niemieckich, patrząc na te niebezpieczeństwa moralne, na jakie wystawieni są uczciwi, religijni emigranci, odbywając podróż międzypokładową, taką robi uwagę: ,,Proszę, zaklinam każdego, kto choć nieco ma sumienia i wstydu, aby międzypokładem nie podróżował: szczególniej żadna szanująca się dziewczyna nigdy tam znajść się nie powinna, lepiej dla niej nie widzieć Ameryki, aniżeli w ten sposób odbywać podróż!"

Tymczasem nasi biedni wychodźcy prawie wszyscy ze względów finansowych odbywają podróż morską w gronie ludzi pozbawionych wszelkiego poczucia przyzwoitości. Już więc na wstępie do tej ziemi obiecanej tyle niebezpieczeństw grozi naszym biednym emigrantom — i potrzeba silnej woli i mocnej wiary, aby się im oprzeć skutecznie.

Z przybyciem do Ameryki niebezpieczeństwa te jeszcze się zwiększają. Źle pojęta wolność, a z nią zasady moralności wyznawców najrozmaitszych sekt protestanckich, nie mogą dodatnio działać na tych, którzy się z nimi codziennie stykać muszą. Dobrze, jeżeli wychodźca, przybywszy do Ameryki, znajdzie pomieszczenie u rodziny religijnej. Dobry przykład zachęci go do dobrego postępowania. Lecz, jak często się zdarza, gdy zamieszka taki samotny wychodźca u rodziny, gdzie zerwano z Bogiem i kościołem, gdzie w niedzielę i święta miasto modlitwy i uczęszczania na Mszę św. odbywają przy często krążących szklanicach pogadanki i mowy bluźniercze przeciwko religii, Kościołowi i duchowieństwu, czyż i sam w krótkim czasie nie zobojętnieje i nie zaprzestanie praktyk religijnych? Niestety pomiędzy Polonią amerykańską wiele znajduje się familii, których domy są szkołą niewiary i zepsucia obyczajów.

Dalszem nie mniej groźnem niebezpieczeństwem są złe pisma polskie, które głoszą często zasady przeciwne nauce Kościoła, występują przeciwko władzy duchownej, szerzą zasady najskrajniejszego socyalizmu. Jeżeli w Galicyi pod bacznem okiem prokuratora pisma liberalne jadem obelg obrzucają często duchowieństwo, to cóż dopiero dziać się musi w Stanach Zjednoczonych, gdzie wolno pisać wszystko, czy w tem jest choć cień prawdy, czy też kłamstwa i oszustwa! Takie pieprzne piśmidła najwięcej zwykle mają czytelników którzy łacno przejmują się złemi zasadami.

Do Ameryki przybywa wielu żonatych, którzy żony pozostawiali w ojczyźnie. Często się zdarza, że niejeden z nich pod przybranem nazwiskiem wchodzi w powtórne małżeństwo, albo po prostu żyje w otwartym konkubinacie. Wypadek ten łatwo sobie tłómaczą tem, że Ameryka to kraj wolny, a więc wszystko wolno. Słyszą o częstych rozwodach i nowozawartych związkach małżeńskich, więc też i sami idą za przykładem Amerykanów. Bardzo wielu widząc, że w Stanach Zjednoczonych łatwo otrzymać ślub cywilny wchodzi w związki małżeńskie wobec władzy cywilnej; po niejakim czasie mąż potajemnie opuszczą swą połowicę (gdyż tak zawartego małżeństwa nie uważa za ważne) i przenosi się do innego stanu, gdzie go nikt nie zna, ani też zdradzić nie może.

Wychodźcy z zaboru pruskiego częściowo i z zaboru rosyjskiego osiedlają się zwykle na stałe w Ameryce i to po większej części w większych miastach fabrycznych, położonych nad wiel-

kiemi jeziorami. Zwykle krewny pociąga za sobą rodzinę spokrewnioną, pomaga im w wyszukaniu pracy, i tak osiedlają się razem, tworząc po większych miastach dzielnice czysto polskie. Emigranci galicyjscy zwykle tylko na pewien czas wychodzą do Ameryki, gdzie zaoszczędziwszy nieco, powracają do kraju. Ponieważ nie znają ani języka angielskiego, ani niemieckiego, przytem nie mają pomocy i poparcia od tam zamieszkałych Polaków, trudno im dostać pracę w większych miastach fabrycznych, dlatego udają się zwykle albo do kopalń węgla albo do mniejszych miejscowości, gdzie łatwiej otrzymują zajęcia, ale gdzie zwykle niema polskiego kościoła. Dobrze, jeżeli gdzie w pobliżu jest polska parafia i polski ksiądz choć raz w miesiąc albo przynajmniej w czasie wielkanocnym ich odwiedzi i wysłucha spowiedzi. Ale często się zdarza, że w promieniu kilkudziesięciu mil niema polskiego kapłana. Biedni, nie słysząc przez długi czas słowa Bożego, powoli odstręczają się od praktyk religijnych, zaniedbują czasami przez lata spowiedzi, a nawet nie uczęszczają na Mszę św. do kościoła irlandzkiego lub niemieckiego, tłómacząc sobie, że nie rozumiejąc po angielsku lub po niemiecku, nietylko zwolnieni są od słuchania kazań, ale i uczęszczania na Mszę św. Podobne tłómaczenie się słyszałem prawie zawsze. Często wstydzą się iść do irlandzkiego kościoła, bo nie mogą w ubraniu świątecznem dorównać Irlandczykom, którzy po większej części są zamożni i mogą sobie pozwolić na stroje wykwintne. To też nasi wychodźcy niedziele i święta przepędzają zwykle w domu, gdzie ze zbiorowych składek urządzają sobie sutą libacyę. Jeżeli w dodatku znajdzie się w ich gronie kilka wyzutych z wiary i moralności, swojemi mowami zarażają pomału całe towarzystwo.

Szczególnie dziewczęta przybywające do Ameryki, bez rodziny i opieki krewnych, wystawione są na wielkie niebezpieczeństwa. W jednej z moich misyi miałem wypadek, że pewna dziewczyna po swojem przybyciu z Galicyi dostała się w takie towarzystwo. Po wielu naleganiach i namowach zawarła z jakimś obieżyświatem ślub cywilny. Po miesiącu czuły małżonek się gdzieś ulotnił, a biedna kobieta została sama, nie wiedząc, co ma z sobą począć. Podobne wypadki zdarzają się często.

Nasi galicyjscy emigranci ze względów finansowych mieszkają zwykle przed miastem, — w tym celu wynajmują sobie obszerny dom i tam mieszkają razem patryarchalnie. Często po kilka osób bez różnicy płci sypia w jednej izbie, dlatego także bardzo często zdarzają się upadki moralne.

Jak wiadomo w Stanach Zjednoczonych Kościół jest rozłączony od państwa. Członkowie poszczególnych wyznań drogą dobrowolnych składek budują sobie kościoły, szkoły, utrzymują duchowieństwo i nauczycieli. To wszystko pociąga za sobą ogromne koszta (co możebnem jest tylko w Ameryce, gdzie robotnik dobrze płatny może ponosić takie ofiary na rzecz swego wyznania). Zwykle kościoły budują się na długi, za które ręczy cała dyecezya. Długi te spłacają parafianie ratami rocznemi.

. . . .

Nic może tak ujemnie nie działa na naszych wychodźców, jak złe otoczenie; fabryki zaś lub kopalnie, te miejsca złych towarzystw: tam znajdują się różni ludzie, różnych wyznań, a wielu żadnej nie mających religii. Częste mowy przeciwne religii, przepisom kościelnym, ostre krytyki postępowania duchowieństwa, pomału zatruwają serca i osłabiają wolę u naszych wychodźców. Szczególnie młodsza generacya wychowana w Stanach Zjednoczonych, władająca dobrze językiem angielskim łatwo komunikuje z młodzieżą amerykańską różnych sekt protestanckich, od niej słyszy częste zarzuty przeciwko kościołowi katolickiemu, przejmuje się złymi przykładami i w wielkiej liczbie odpada od wiary ojców. Dla starszych nie rozumiejących dobrze języka angielskiego nie zagraża niebezpieczeństwo ze strony sekt protestanckich, ale za to zły wpływ wywiera na nich bliższe stykanie się z Czechami, z którymi bardzo łatwo się porozumiewają. Naród czeski w rzeczach wiary jest bardzo lekkomyślny: zawsze w nim pokutuje duch Hussa. Żaden może z narodów katolickich nie lekceważy sobie tak przykazań kościelnych, jak to czyni naród czeski. Wielu z nich po przybyciu do Ameryki wyrzeka się wiary katolickiej i kościoła, przystępując gromadnie do sekt masońskich. W Cleveland na 40,000 Czechów nie wiem czy 20,000 należy do kościoła katolickiego, druga większa połowa należy do związków masońskich i publicznie wyśmiewa i prześladuje swoich braci katolików.

Podstawą każdej parafii w Stanach Zjednoczonych są towarzystwa czyli bractwa kościelne tak męskie jakoteż żeńskie. Szczególniejszą uwagę zwrócono obecnie na młodzież, aby ją uchronić przed złymi przykładami i od lat najmłodszych zachęcić do gorliwego spełniania praktych religijnych, a szczególnie częstego przystępowania do św. Sakramentów. Zaraz po pierwszej Komunii św. łączy się ją w bractwa, a przez to niejako moralnie zmusza do częstej spowiedzi. Członkowie bowiem poszczególnych towarzystw, wedle ustaw sobie nałożonych, zobowiązują się co kwartał przystępować do spowiedzi i wspólnej Komunii św. Kto bez powodu zaniedbuje spowiedź, podpada karze przepisanej konstytucyą bractwa. Złe i niemoralne prowadzenie się albo występowanie przeciwko religii i duchowieństwu pociąga za sobą

wykluczenie z towarzystwa. Oprócz tej dobrej strony moralnej towarzystwa takie mają i drugi cel więcej praktycznej i materyalnej natury. Celem tym jest wzajemne niesienie pomocy materyalnej pojedynczym członkom na wypadek choroby. Każdy z członków opłaca miesięcznie pewną małą kwotę, za co na wypadek choroby otrzymuje tygodniowo z kasy bractwa 4-5 dolarów zapomogi. Pojedyncze żaś towarzystwa łączą się w inne większe organizacye polskie, których jest kilka w Stanach Zjednoczonych. Większa część z nich opiera się na gruncie religijnym, składa się bowiem z towarzystw kościelnych. Inne, oparte więcej na patryotyźmie o zakroju liberalnym, przyjmują do siebie bez względu na wyznanie każdego, kto tylko na polskiej urodził się ziemi i czuje się Polakiem.

Celem tych większych organizacyi jest pomoc materylna na wypadek śmierci. Stosownie do wpłat miesięcznych i ustaw towarzystw otrzymuje mąż po śmierci żony 300-500 dolarów, żona zaś po śmierci męża 600-1000 dolarów. Nasi galicyjscy wychodźcy, którzy tylko czasowo pozostają w Ameryce, zwykle nie należą do żadnych towarzystw, dlatego na wypadek dłuższej choroby, gdy nie mają zaoszczędzonych pieniędzy, muszą iść do szpitala często protestanckiego na koszt miasta, a gdy niejednego z nich zaskoczy śmierć w tym stanie, nie ma ich za co nawet pochować. Dodać tu należy, że w Ameryce parafie katolickie mają swoje wyznaniowe cmentarze zupełnie oddzielnie od tak zwanych cmentarzy bezwyznaniowych miejskich, na których grzebie się wszystkich bez różnicy wyznania. Ale za miejsce na cmentarzu katolickim zwłaszcza w wielkich miastach trzeba płacić i to dosyć słono n. p. w dyecezyi Clevelandzkiej płaci się na miejsce dla dzieci 5 dolarów, dla dorosłych 10 dolarów.

Cmentarz jest własnością dyecezyi i wspólny dla wszystkich katolików jakiejkolwiek byliby narodowości; stąd gdyby n. p. polskie parafie chciały mieć swój własny cmentarz, biskup na to nie pozwoli. W razie, gdy umrze biedny i nie może rodzina opłacić miejsca na cmentarzu, opłacić musi parafia, do której za życiu należał; dlatego proboszcz znajdzie się często w kollizyi, bo parafianie niechętnie płacą za innych, twierdząc, że każdy za życia powinien się tak zaopatrzyć, aby przynajmiej było go za co pochować. Krótko przed moim wyjazdem z Cleveland, umarł w jednym z protestanckich szpitali jakiś Polak. Zarządca szpitala rozesłał do wszystkich polskich księży służbę, aby go który pochował na katolickim cmentarzu, w przeciwnym razie szpital odda go do kliniki, gdyż niema go za co pochować. Żaden z proboszczów nie chciał go wziąć na koszt swej parafii, bo za życia zupełnie nie należał do żadnej z parafii polskich i do Kościoła nie chodził, a będąc długi czas chorym w szpitalu nie zawezwał księdza, aby się pojednać z Panem Bogiem. Nadmieniłem ten wypadek, aby lepiej wyświetlić losy wielu naszych emigrantów, którzy w Ameryce porzucają Kościół i wiarę ojców. Przyznać trzeba, że nasi galicyjscy wychodźcy, jeżeli kto z nich umrze, a nie ma go za co pochować, zwykle pomiędzy sobą robią składki, aby nie być ciężarem dla parafii, dla której zmarły należał.

Największem nieszczęściem dla Polonii amerykańskiej jest nieszczęsna schyzma, która w różnych Stanach tysiące wiernego ludu polskiego oderwała od Kościoła i popchnęła na drogę wiecznej zguby, a imię polskie podała w poniewierkę i hańbę u obcych.

Nie chcę przytaczać powodów i przyczyn, które wywołały schyzmę śród naszej emigracyi w Ameryce (na ten temat wiele bardzo pisaćby można) aby niniejszej korespondencyi zbyt nie przedłużać, a zarazem cierpliwości Czytelników nadużywać; pomijam tę bolesną dla każdego Polaka, a tem więcej kapłana, sprawę. Wszelkie kłótnie i walki rozstrój sprowadzają w społeczeństwie, ale kłótnie i walki religijne stokroć gorsze wydają owoce. Pomijam to największe i dla dusz najzgubniejsze następstwo schyzmy, że tysiące w złej wierze odłączywszy się od prawdziwego Kościoła, znajduje się w niebezpieczeństwie utraty wiecznego zbawienia; zaznaczam tylko te straszne skutki społeczno-moralne wśród naszej emigracyi tam, gdzie powstały tak zwane „kościoły niezależne“.

Schyzma rozdziela dzieci wspólnej matki ojczyzny na dwa wrogo względem siebie usposobione obozy — co więcej w rodzinę i jej życie wprowadza zamęt, kłótnie, przekleństwa.

Często się zdarza, że mąż należy do schyzmy, a żona do parafii katolickiej lub odwrotnie. Czyż w takiej rodzinie może być spokój a zarazem dobry dla dzieci przykład? Byłem świadkiem tych walk domowo-religijnych w Detroit i Cleveland. Brat przeklina brata, ojciec dzieci, żona męża, dzieci złorzeczą swoim rodzicom, na każdem liczniejszem zebraniu, przy pracy w fabrykach ustawiczne wzajemne wyszydzania i przekleństwa, tak że często nawet przychodzi do walki i krwi rozlewu, musi wkraczać policya i swojemi pałkami (broń policyi amerykańskiej) godzić strony poważnione. Ile stąd procesów, ile upokorzeń i wstydu dla Polaków! Amerykanie patrząc na te walki domowo-religijne Polaków, z oburzeniem wołają, że Polacy wychowani pod knutem europejskim nie umieją w Ameryce korzystać z tej wolności, jakiej im przybrana użycza ojczyzna. Dlatego były nawet głosy na kongresie w Washyngton, aby dla emigracyi polskiej zamknąć wrota

Rzeczypospolitej. Naród, który jest, śmiało powiedzieć można, najwięcej przywiązany do kościoła i religii z pomiędzy wszystkich narodów katolickich Stanów Zjednoczonych, w oczach biskupów amerykańskich najgorszej zażywa opinii.

Na pochwałę naszej galicyjskiej emigracyi podnieść trzeba to, że bardzo mało z nich przyłącza się do niezależnych parafii, a i ci czynią to chyba z nieświadomości. Najwięcej podobno należy ich do niezależnego kościoła w Buffalo i to takich, którzy się na zawsze osiedlili w Ameryce.

Oprócz schyzmy są jeszcze w niektórych większych miastach jak w Detroit, Buffalo i t. d. polskie zbiory metodyskie. Lecz te bardzo małą cieszą się liczbą wyznawców polskiej narodowości.

Ze sekt protestanckich największą nienawiścią ku Kościołowi katolickiemu pałają metodyści. Z ich grona powstało katolickożercze stowarzyszenie pod nazwą: A. P. A. (opi-iści) t. j. „American Patriotic Association“. Celem tego stowarzyszenia jest rugować katolików z urzędów publicznych. Nienawiść swą względem katolicyzmu do tego stopnia okazują, że nawet z fabryk usuwają katolików. Metodyści starają się wszelkiemi siłami zyskać Polaków dla swoich zbiorów. W niektórych miejscowościach na ten cel utrzymują polskich kaznodziei, których wykształcili w swoich seminaryach. Aby tem łatwiej pozyskać Polaków, dają im pracę w fabrykach, albo biedniejszych zasilają dukatami, ale to wszystko mało pomaga. Niektórzy nie mając na razie środków do życia, zapisują się do tej metodyskiej parafii, tak długo jednak tam należą, dopóki nie dostaną pracy i zarobku gdzie indziej. W Cleveland podobnem apostolstwem sekty metodyskiej zajmuje się pewna bogata stara panna, amerykanka, która przed kilku laty bawiła dłuższy czas w Krakowie, aby się nauczyć języka polskiego.

Naturalnie, że inne większe osady polskie nie są wolne od podobnego rodzaju misyi metodyskich.

Oto mały obraz niebezpieczeństw moralnych, jakie grożą naszej emigracyi w Stanach Zjednoczonych.

X P. Ć.





PIERWSZE

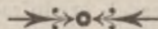
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział XXVII.

(Ciąg dalszy).

— Łaskawy panie markizie, jestem wdzięcznym za rady, jakie mi dajesz, i postaram się z nich skorzystać; wybaczysz mi jednak, że nie mogę być z chłopcami obecnym na owej zabawie. Zechciej, panie, zaprosić mię gdziekolwiek, w celu okazania miłości kapłańskiej, a znajdziesz mnie zawsze gotowego do oddania mojego majątku i życia; nie chcę jednak niepokoić umysłów chłopięcych widowiskami, których wcale nie rozumieją.

Ponieważ ks. Bosko w zasadach swoich był nieustraszonym, markiz go opuścił i odtąd nie miał z nim wcale stosunków. Sprawa jednak nie poszła tak gładko z niektórymi duchownymi, którzy szli dalej za ówczesnemi opiniami. Przypomniemy kilka pomniejszych wypadków.

Jeden z tych kapłanów, idąc za zdaniem innych, zaproponował pewnego dnia, aby ks. Bosko wziął na siebie długie spodnie. Ks. Bosko na takie zaproszenie począł się śmiać i następnie odpowiedział: „Rozpocznijże reformę od ks. kanonika Anglesia, Cafasso i Borela. Jeżeli się ci trzej kapłani wzorowi przebiorą według waszego żądania, kto wie, może i ja zechcę to uczynić“.

Pewnej niedzieli około godziny drugiej z południa jeden z chłopców roztropnych i zaufanych czytał w zakątku naszego podwórza dziennik *Armonia*, który w owym czasie bronił sprawy Kościoła i sprawiedliwości z godnem pochwały męztwem i świadomością rzeczy. W owej chwili weszło do Oratoryum kilku indywiduów z kokardą na piersi przypiętą, a jeden z nich nawet niósł chorągiew

trójkolorową. Ten ostatni, odznaczający się nawet nauką i gorliwością, zbliżył do owego chłopca, co czytał dziennik i począł mówić: „*Ganię to; już czas skończyć z temi niewiniątkami.* Co rzekłszy, wyrwał z ręki dziennik katolicki, podarł na kawałki, rzucił na ziemię, napluł i z wściekłością deptał nogami. Gdy już wywarł swój gniew, zbliżył się do ks. Bosko i wyjąwszy z kieszeni gazetę, zwaną *Opinione*, rzekł: „*To jest dobry dziennik, ten a nie inny powinni czytać wszyscy uczciwi obywatele!*“ Wobec takiego czynu i podobnych słów ks. Bosko stanął jakby oszołomiony, a chcąc uniknąć dalszego zgorszenia dla chłopców, prosił go, aby się później z nim poufnie rozmówił. „*Nie, księże*, odrzekł tenże, *odtąd nic się nie będzie działo prywatnie, w tajemnicy, ale wszystko jasno będzie postawione!*“

W owej chwili odezwał się dzwonek, zwołujący chłopców do kościoła; ks. Bosko zaś miał nadzieję, że umysły się uspokoją u stóp ołtarza — jednakże tak się nie stało. Kapłan, o którym wyżej mówiliśmy, miał powiedzieć tego dnia kazanie; wszedł zatem na małą ambonę i rozpoczął nudną mowę, godną wszelkiego pożałowania. Przez pół godziny prawie dochodziły do uszu młodych słuchaczy tylko takie słowa, jak: *emancypacya*, *niezależność*, *wolność*. Wielu chłopców hałasowało, inni się śmiali i do wyrazów *wolność*, *wolność* (libertà, libertà) dorabiali rym odpowiedni, powtarzając w narzeczu piemonckiem: *torototela*, *torototà*. Najwięcej z tego powodu cierpiał biedny ksiądz Bosko i gorzko w sercu płakał. — „Tegom się nie spodziewał, mówił, idąc do zakrystyi, to za grubo ze strony dyabła! Boże mój, rozprósz te szalone rady i uczyń, aby moi kochani chłopcy tem się nie zgorszyli!“ Po skończonem nabożeństwie zamierzał przywołać do siebie biednego obłąkańca i w łagodny sposób dać mu poznać jego wykroczenie; zanim to wykonał, inny znowu, wyszedłszy z kościoła, wezwał kolegów i chłopców, aby się z nim połączyli, zaintonował na całe gardło hymn narodowy i ze setką osób wyszedł z Oratoryum, powiewając gwałtownie, swoją chorągwią. Zbuntowana zgraja stanęła pod górą kapucyńską. Tam uchwalono propozycyę, aby nie powracać do Oratoryum bez zaproszenia i uroczystego przyjęcia, t. j. ze sztandarami w ręku jak również z kokardami i medalami na piersiach.

Ks. Bosko choć był zasmucony tym nieporządkiem, nie upadł na duchu a, dalekim będąc od ustąpienia, oświadczył przywódcom, że odtąd sam się będzie zajmował wszystkiem w Oratoryum, im zaś zabrania nawet wejścia do niego. Chłopcom, co za nimi nierozważnie poszli, także przykazał, aby w razie powrotu do Oratoryum, jeden za drugim do niego przychodzili w celu usłyszenia odpowiednej przestrogi i nauki. Sprawa poszła pomyślniej, aniżeli można było tego się spodziewać; duchowni ci już więcej nie przychodzili i tak ustały powody do rozdwojenia, większa część chłopców zbałamuconych powróciło z prośbą o przebaczenie i z obietnicą posłuszeństwa i zamiłowania nauki. Wszelako kilka dziesiątków przez parę miesięcy trzymało się od niego zdala. W święta słuchali Mszy św. w tym albo innym kościele a potem udawali się w okolice poblizkie Turynu. Dobre śniadania, smaczne podwieczorki, przyjemne spacery, widowiska i ćwiczenia wojskowe, na które chodzili, były tyluż wabikami, dla których zdala się trzymali od księdza Bosko.

Jaki cel mieli w tem owi duchowni? Prawdopodobnie zamierzali przyciągnąć do siebie wszystkich chłopców z Oratoryum, a przynajmniej część tychże, kierować nimi i prowadzić według swoich zapatrywań. Można również przypuszczać, że w tej szalonej sprawie działał jakiś szalony demagog. Bądź co bądź, patrząc na przywódców i ich zręczność, możemy wnosić, że te knowania wyjść mogły na wielką niekorzyść dla Oratoryum; jeżeli zaś to nie nastąpiło, zawdzięczamy Bogu i Najśw. Dziewicy Niepokalanej, która przez ks. Bosko zawsze się niem opiekowała i broniła od zasadzek nieprzyjacielskich.

Ks. Arcybiskup Fransoni, dowiedziawszy się na wygnaniu o tych podstępach, dodawał odwagi księdzu Bosko, a dla zapobieżenia podobnym wypadkom na przyszłość mianował go z urzędu głównym dyrektorem wszystkich oratoryów. Dekret z dnia 21 marca jest następującej osnowy:

„Ciesząc się z Tobą, zacny Kapłanie, że potrafiłeś z czułą miłością utworzyć godne największej pochwały kongregacye biednych chłopców w publicznem Oratoryum św. Franciszka Salezego w Valdocco, uważamy za rzecz sprawiedliwą niniejszem wyrazić Ci nasze zupełne zadowolenie i mianować głównym Dyrektorem duchownym Oratoryum św. Franciszka Salezego, z którem łączymy i czynimy odeń zależnymi oratorya św. Alojzego Gonzagi i św. Anioła Stróża, aby dzieło prowadzone z tak wielką korzyścią, dalej wzrastało i rozwijało się w związku miłości na prawdziwą chwałę Bożą i większy pożytek bliźniego. W tym celu udzielamy Ci wszelkiej władzy, koniecznej i potrzebnej do tego urzędu“.

Wszakże z powodu tych rozterek ks. Bosko znalazł się niemal sam znowu pod ciężarem wszystkich obowiązków całego Oratoryum. W dni świąteczne od samego rana siadał do konfesyonału, około godziny dziewiątej odprawiał kazania albo opowiadania z historyi świętej lub kościelnej, następnie szedł na lekcye śpiewu i literatury i tam zostawał aż do południa. O godzinie pierwszej z południa przybywał na rekreacyę po której następowały: katechizm, nieszpory, nauka, benedykcya Najśw. Sakramentem, poczem chłopcy bawili się w rozmaite gry w jego obecności.

W końcu jeszcze ks. Bosko miewał całogodzinną lekcyę. Przez cały ten czas i wśród tych licznych zajęć nie widziano z chłopcami nikogo więcej, prócz księdza Bosko i jednego albo dwóch kapłanów, którzy, chociaż wtedy gdzieindziej mieli wiele do spełniania obowiązków kapłańskich, chwilowo przychodzili także do Oratoryum. Oddając świadectwo prawdzie, nadmienimy, że jeden z nielicznych był w dalszym ciagu prawą ręką księdza Bosko, a tym był ks. Borel. Zajęty w przytułku miejscowym, więzieniach państwowych i innymi obowiązkami w mieście, ten człowiek, mały wzrostem ciała a wielki duszą, znajdował jeszcze dosyć czasu na pracę w Oratoryum. Nie rzadko odejmował godziny od snu na słuchanie spowiedzi, często wyczerpanym siłom odmawiał koniecznego wypoczynku i prawił kazania wieczorem w dni świąteczne, aby ulżyć przyjacielowi. Niech będą na zawsze dzięki temu gorliwemu kapłanowi!

W tym czasie ciężkiej pracy, w święto po południu, przybyło z odwiedzinami do księdza Bosko dwóch głośnych podówczas kapłanów. Znajdując się w Turynie, a powodowani sławą przybyli do Oratoryum, aby się poznać z księdzem Bosko i od niego się dowiedzieć o początku, celu i przebiegu dotychczasowych jego instytucyi. Było wtedy około godziny drugiej. Chłopcy gotowali się na lekcyę katechizmu a ks. Bosko w braku katechetów szykował pojedyńcze oddziały, gdy weszli dwaj duchowni okazując chęć z nim pomówić. Nie pytając kimby byli, ks. Bosko rzekł pospiesznie: „Bóg mi was zesłał, zechcijcie więc łaskawie pomódz mi w nauce katechizmowej a potem dowoli się nagadamy! Ksiądz, zwrócił się do jednego z nich, będzie uczył najstarszych w chórze, a ksiądz, mówiąc do drugiego, weźmie do prezbyteryum najmniejszych!" I dwaj kapłani przyjęli najchętniej to zaproszenie. Ks. Bosko przekonawszy się, że katechizowali wybornie, prosił jednego, aby przemówił do chłopców, a drugiego, iżby udzielił błogosławieństwa Najśw. Sakramentem, na co się zgodzili. Po odprawieniu nabożeństwa pragnął się z nimi coprędzej poznać i rozmówić. Jakież jednak było jego zdziwienie, gdy się dowiedział, że jednym z nich był ks. Antoni Rosmini, założyciel instytutu *della carità*, osobistość bardzo wybitna, a drugim ks. kanonik Józef Degaudenzi, archiprezbyter z Vercelli, kapłan znany z miłosierdzia i gorliwości, a później biskup w Vigevano i wielka ozdoba episkopatu katolickiego. Długo rozmawiali z księdzem Bosko i odtąd się stali dwoma wielbicielami jego Oratoryum.

Jeżeli z jednej strony diabeł wprowadził rozdwojenie do Oratoryum i zabrał księdzu Bosko prawie wszystkich jego pomocników, to z drugiej Pan Bóg dał mu sposobność do odwrócenia innego nieszczęścia i jednocześnie przygotowania odpowiedniej pomocy. Od kilku lat z powodu wojny seminaryum duchowne w Turynie było zamknięte i odtąd zajęte przez wojskowych. Z tego powodu klerycy którzy pozostali wiernymi swojemu powołaniu, byli smuszeni pozostać w domu rodziców albo umieszczać się na stancyi w domach prywatnych nie bez uszczerbku dla siebie. W celu przyjścia im z pomocą w położeniu, jakie okoliczności zgotowały, ks. Bosko ufny w Opatrzność Bożą, postanowił otworzyć w swoim domu przytułek dla kleryków archidyecezyi turyńskiej. Dla urzeczywistnienia tego zamiaru chwalebnego, ze znacznem powiększeniem komornego i innych wydatków wyjednał, że p. Pinardi wymówił mieszkanie reszcie lokatorów i cały dom ze wszystkiemi przyległościami wynajął księdzu Bosko. Wypłynęły z tego dwie korzyści: najprzód, wypędzono z sąsiedztwa zgraję osób złego życia, które przez długie lata czyniły z tego miejsca gniazdo szatańskie; niekiedy te osoby wybiegały na podwórze, a nawet do kaplicy, powodując zamieszanie, że trzeba było zamykać oczy i uszy, aby pewnych rzeczy nie widzieć i nie słyszeć. Drugą ważną korzyścią było, że ks. Bosko, mając więcej mieszkań do swojej dyspozycyi, mógł zebrać lewitów, tu i owdzie rozproszonych, i trzymać przy sobie jako w seminaryum. Mieszkali razem i uczyli się w hospicyum a na wykłady chodzili przed i po południu albo do domu profesorów albo do małej i prawie ciemnej izby, przyległej do seminaryum, zajętego przez żołnierzy aż do r. 1863. To samo dobrodziejstwo wyświadczał klerykom ks. kanonik Alojzy Anglesio, przełożony t. zw. Domku Boskiej Opatrzności a następca wielebnego sługi Bożego ks. Józefa Cottolengo. Stąd słusznie można powiedzieć, że w tych latach smutnych dla kościoła

turyńskiego i nieobfitych w powołania, domy wielebnego Cottolengo i księdza Bosko zastępowały seminaryum duchowne i przyniosły wielkie korzyści dla tej dyecezyi, jak je jeszcze dzisiaj przynoszą dla wielu dyecezyi włoskich. Otoż ci aspiranci do stanu kapłańskiego stali się dla księdza Bosko wielką pomocą w prowadzeniu katechizacyi chłopców w Oratoryum, a przykładem swoim zachęcili niejednego z nich do poświęcenia się służbie Bożej, jak o tem powiemy na właściwem miejscu.

W tym czasie nowych i bolesnych prób przybyła jeszcze jedna pomoc i to niemałego pożytku dla Oratoryum. Po kampanii 1850 r. powrócił z wojny do domu dawny uczeń, który obecnie zaczął w dalszym ciągu uczęszczać pilnie na zebrania świąteczne a do księdza Bosko czuł zawsze najżywsze przywiązanie. Ponieważ służył w pułku strzelców, zwanych *bersaglieri*, chłopcy zwali go *Bersagliere;* tego to więc żołnierza, obeznanego z ćwiczeniami wojskowemi towarzysze prosili, aby ich wyuczył musztry, na co on się też zgodził za pozwoleniem księdza Bosko i utworzył mały oddział, złożony z chłopców żywszych i zręczniejszych. Na prośbę otrzymano od rządu około dwieście strzelb bez luf, zaopatrzono się w kije do ćwiczeń; *Bersagliere* nosił trąbkę jako dowódca, i po niejakim czasie nauki Oratoryum posiadało oddział tak dobrze wyćwiczony, że mógł co najmniej współzawodniczyć z gwardyą narodową. Chłopcy się wtedy więcej ożywili: jedni zapisywali się do oddziału, drudzy lubili patrzeć na manewry, ruchy i bitwy, przez te brygady urządzone. We wszystkie większe uroczystości milicya oratoryańska utrzymywała porządek w kościele i wewnątrz domu i wtedy wykonywała obroty wojskowe tak doskonale, że zasłużyła sobie na najwyższą pochwałę. Otoż te ćwiczenia posłużyły do powrotu do Oratoryum niektórym chłopcom, którzy goniąc zawsze za nowością, odeń się oddalili i zachęcili swoim przykładem innych, tak żądnych zabawy i gier odpowiednich, że ich również poczęli szukać a opuszczać obowiązki religijne.

Pewnego razu mały oddział oratoryański wyrządził bezwiednie wielką nieprzyjemność osobie, najdroższej po księdzu Bosko t. j. matce Małgorzacie. Jako dobra gospodyni, urządziła sobie w głębi podwórza ogródek warzywny, który sama starannie uprawiała i obsiewała tak, że stąd miała sałatę, czosnek, cebulę, groch, fasolę, marchew, rzepę i inne rośliny, nie wyłączając mięty i szałwii. W pewien dzień świateczny *Bersagliere* zebrał swój zastęp wojskowy i podzielił na dwie części, pragnąc zabawić licznych widzów udaną bitwą. Wydał także odpowiednie rozporządzenie, aby na dany znak jedna z dwóch części, z góry wyznaczona, ustąpiła, uznając się za zwyciężoną. Nadto w celu ochrony ogródka, polecił zwycięzcom, iżby w chwili dojścia do płotu tam się zaraz zatrzymali. Na komendę dowódcy rozpoczęto walkę. Obydwa oddziały zawołały głośno *hurà*, poczem jeden z tej a drugi z tamtej strony podwórza rozpoczęły swoje obroty, celując do siebie drewnianemi strzelbami. Patrząc na zapał obustronny, regularne nabijanie broni i udawane wystrzały, powolne posuwanie się naprzód i cofanie, doskonałe obroty na prawo i lewo, aby kolejno na siebie napaść niespodzianie, rzekłbyś, że masz pod sobą prawdziwą bitwę. Brakowało tylko huku armat i rzeczywistych wystrzałów z fuzyi, nie padali również zabici i ranni. Obecni pożerali oczyma to widowisko, klaskali w ręce, krzycząc: „*Dzielnie, zuchy!*“ Pochwały tak bardzo zapaliły umysły wojownicze zapaśników, że oddział wygrywający, ubiegając się o ostateczne zwycięztwo, przekroczył rozkaz, gdyż nacierając nieprzyjaciela coraz więcej, przeniósł bitwę do ogrodu matki. Płot się całkowicie wywrócił, mniemani żołnierze jedni padali a drudzy powstawali, w ogrodzie zaś wszystko było podeptane i zniszczone. Dowódca krzyczał i trąbił, ale śmiech i oklaski obecnych nie pozwoliły nic słyszeć.

Gdy obydwa oddziały się uporządkowały, z ogrodu warzywnego pozostały tylko małe ślady. Obecna temu matka Małgorzata, sądząc, że ten atak był z góry obmyślonym, aby całe widowisko uczynić więcej ciekawem, zwróciła się do syna i ze słowami słusznego oburzenia rzekła miejscowem narzeczem: „*Varda, varda, Gioanin, lon ca l'a fait 'l Bërsaliè: a la guastame tut l'ort* (patrz, patrz, Janie, co zrobił Bersagliere: zniszczył mi cały ogród“). Ks. Bosko z uśmiechem na ustach powiedział: „*Mare, cosa veuli feie? A son giouvo*“ (Matko, co chcesz im uczynić? To są chłopcy). Pocieszył następnie dowódcę, zmartwionego tą przygodą, i dał pudełko karmelków do rozdania pomiędzy zwycięzców i zwyciężonych.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



NEKROLOG

FRYDERYK BUCHALIK.



Z bólem serca donosimy szerokim kołom, naszych Przezacnych Pomocników o śmierci tego gorliwego członka związku Pomocników. Jego imię nie było głośne na świecie, bo żył cicho, z pracy rąk swoich, w Biskupicach, małej wiosce, na Górnym Śląsku. Ale jego złote serce i szczodrobliwość zasługują na to, byśmy jego pamięć uczcili.

Często, bo prawie co miesiąc, posyłał do zakładu oświęcimskiego swoją ofiarę. Nie były to wielkie pieniądze, bo do nich przyjść nie mógł, ale potrafił tak zachęcić przyjaciół i krewnych do ofiarności, że jego imię znajdowało się zawsze w końcu długiego spisu ofiarodawców. Jego listy były owiane jakimś głębokim szacunkiem dla duchowieństwa, szczerem przywiązaniem do Zgromadzenia Salezyańskiego i rozumną a silną miłością ku ojczyźnie. Zawsze przepraszał, że się zanadto natrąca i twierdził, że nie mógł sobie odmówić tej przyjemności i tego szczęścia, by coś do Oświęcimia nie posłać. Zgromadzenie postradało jednego z najczynniejszych swych Pomocników, zakładowi oświęcimskiemu ubył jeden z największych dobrodziejów.

Pamiętajmy w modłach o jego szlachetnej duszy.

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Basoń Ewa — *Nowa Góra*, Galicya.
Brüks Józef — *Ożydów*, Galicya.
Buskowa Klara — *Nowa Góra*, Galicya.
Gotkowski Zygmund — *Nowa Góra*, Galicya.
Pluta Franciszek — *Ruda*, Górny Śląsk.
Paprzycki Maks. — *Jaraczewo*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szewczyk Ap. — — *Juszoryn*, Galicya.
Żołnierczak A. — *Pomorzany*, Galicya.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef Gambino. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1902.

w jakimkolwiek kościele lub Oratoryum publicznem, i aby, odwiedziwszy później pobożnie to Oratoryum lub tenże sam kościół, wznieśli gorące modły do Boga, za zgodę książąt chrześcijańskich, o wytępienie herezyi, o nawrócenie grzeszników i wywyższenie naszej Matki Kościoła Śgo. Ten odpust może być także ofiarowany za dusze tych wiernych, którzy już rozstali się z tem życiem, złączeni węzłami miłości z Bogiem i bliźnimi. Pragnąc nadto dać tymże stowarzyszeniom dowód szczególniejszej naszej łaski, nadajemy im wszelkie odpusty tak zupełne jak częściowe, których mogą dostąpić tercyarze św. Franciszka z Asyżu; i naszą powagą pozwalamy, aby mogli prawowicie i swobodnie dostąpić w czasie uroczystości św. Franciszka z Asyżu i w kościołach salezyańskich kapłanów, wszystkich odpustów, których mogą dostąpić tercyarze w czasie uroczystości, jak też i w kościołach św. Franciszka z Asyżu, aby tylko wykonywali ściśle w Bogu uczynki pobożności, nakazane dla nabycia tychże odpustów. I to, pomimo wszystkiego, coby się sprzeciwiać mogło niniejszemu pismu, ma moc obowiązującą na wieczne czasy."

Zaledwie został wyniesiony na tron św. Piotra, Leon XIII zapragnął natychmiast zostać pomocnikiem salezyańskim, jak nim był Pius IX. Nie szczędził też błogosławieństw i zachęty. Oto rzesztą wiernie powtórzone słowa Leona XIII do ks. Bosko: „Ilekroć będzie ksiądz przemawiał do salezyańskich pomocników, powie im, że ich błogosławię z całego serca; że zadanie towarzystwa polega na tem, żeby nie dopuścić do zniszczenia młodzieży i że członkowie powinni tworzyć jedną duszę i jedno serce, aby ci dopomódz do dopięcia celu zamierzonego przez Towarzystwo św. Franciszka Salezego." Aby pokazać jaką wagę przywiązuje do tego dzieła i o ile się niem interesuje, Ojciec św. Leon XIII raczył zamianować w marcu 1879 r. Jego Eminencyę kardynała Wawrzyńca Nina protektorem Towarzystwa Salezyańskiego. Tak więc to stowarzyszenie ostatecznie aprobowane przez Kościół, jest istnem bractwem tercyarskiem, i może się stać punktem środkowym, około którego gromadzić się mogą wszyscy ludzie dobrej woli. Żniwo pańskie jest piękne, niechże przybywają żniwiarze.

Współpracownikiem można zostać już w 16 r. życia; na żądanie otrzymuje się kartkę przyjęcia, wydaną przez upoważnionego księdza salezyańskiego. — Od tej chwili, jeżeli się zachowuje przepisy stowarzyszenia, ma się też udział we wszystkich odpustach i łaskach duchownych, które mu są nadane; korzysta się ze wszystkich mszy, modlitw, nowenn, ćwiczeń duchownych i t. d. i ze wszystkich uczynków miłosiernych spełnianych w świecie całym przez Salezyanów. Nie wymaga się żadnych praktyk religijnych od pomocników salezyańskich, z wyjątkiem Ojcze nasz i Zdrowaś Marya odmawianych raz na dzień, na chwałę św. Franciszka Salezego, stosownie do życzenia Ojca św. — Zaleca się tylko częste przystępowanie do Stołu Pańskiego, odbywanie, co rok krótkich rekolekcyi, a co miesiąc przygotowanie się do szczęśliwej śmierci. Zaleca się im jeszcze skromność w odzieży, umiarkowanie w jedzeniu, w urządzeniu domu, ścisłość w wykonywaniu obowiązków swego powołania, staranie, aby

święcenie niedzieli i świąt było ściśle zachowywane przez tych, którzy są pomocnikom salezyańskim podlegli. Członkowie salezyańskiego Towarzystwa uważają wszystkich pomocników za braci w Chrystusie, i udają się do nich, ile razy ich współdziałanie może być użyteczne dla chwały Boga i dla dobra dusz. Pomocnicy również, jeżeli potrzebują, uciekają się z takąż samą swobodą do członków salezyańskiego Towarzystwa n. p. w wypadku choroby, lub aby otrzymać jakąś łaskę. Po ich śmierci odprawiają specialne modły na ich intencyę.

Pomocnicy i Pomocnice powinni w granicach możliwości popierać wykonywanie obrządków wiary, wyszukiwać i podtrzymywać powołania zakonne, zajmować się rozszerzaniem dobrych książek, wykonywać miłosierdzie względem biednych dzieci i opuszczonych, które mają być narażone na zgubę. Naturalnie powinni podtrzymywać dzieła salezyańskie, mianowicie domy istniejące na ich ziemi ojczystej, już to składając stosownie do możności raz na miesiąc lub przynajmnej na rok pewną ofiarę; już to zbierając dary i jałmużny wszelkimi sposobami, którymi ich natchnie miłość bliźniego.

Ks. Bosko pisał raz do swych Pomocników: „W imię nieba, które ma być kiedyś naszą nagrodą, w imię tych biednych małych istot, które nie mogą do was wyciągnąć ręki, w imię Chrystusa, który obiecał wieczność szczęśliwą tym, co ulgę niosą cierpiącym, nie zapominajcie o dziele, któreśmy przedsięwzięli, nie traćcie z myśli waszych małych pretogowanych. Jeżeli uczynicie dla nich to wszystko, co jest w waszej mocy, jeżeli przekroczycie nawet granice tego, na co wam pozwalają wasze środki, pozostaje wam jeszcze środek: polecanie nas osobom miłosiernym, które znacie. Starajcie się o nowych pomocników, mówcie im często o tem, jakie dobro wyniknie dla nich i dla związku. Stwórzcie rodzaj ligi, która powstrzyma postępy demagogii, niemoralności i okropnego zgorszenia rozwiązłej młodzieży, która wielkimi krokami idzie do ateizmu. A gdy już spełniliście wszystko, czem miłość religii zdolna jest natchnąć wielkie dusze, bądźcie pewni, że jeszcze pozostanie wam coś dobrego do spełnienia.“

Dum tempus habemus, operemur bona. Póki czas mamy, czyńmy dobrze.

